

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY: w Wilnie		REDAKCJA i ADMINISTRACJA	CENY OGŁOSZEŃ;
Rocznie	6.	Ś. Jerska 15 m. 26	Przed tekstem za wiersz petitu - - - 50 k
Półrocznie	3.	Otwarte codziennie prócz świąt od godziny 11 do 3 i od 5 do 7.	W tekście (nadesłane) - - - - - 1 rb
Kwartalnie	1.50	Skrzynka pocztowa № 52	Po tekście - - - - - 20 k
Miesięcznie	50		
Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu			Numer pojedynczy 15 kop.
Rocznie	7.—		
Półrocznie	3.50		
Kwartalnie	1.75		
Miesięcznie	60		

Zarząd Kowieńskiego Towarzystwa Rolnego Wzajemnych ubezpieczeń ZAWIADAMIA,

że z dniem 1 Listopada r.b. zyskuje moc uchwała Walnego Zgromadzenia Członków z dnia 24. II. 1912. na mocy której wszystkie roczne ubezpieczenia, o ile przed ich wznowieniem nie nadejdą do Zarządu zawiadomienia o zmianach lub o przerwaniu ubezpieczenia, odnowione będą bez uprzedniego o tem zawiadamiania interesowanych, z terminem do 15 Kwietnia 1914 r. z opłata należności w dwóch ratach.

CHWIŁA OSOBLIWA.

Cechą ludzi małych jest łatwość popadania w doktrynerstwo, gdy idzie o sprawy publiczne. Dowodem, że w publicystyce polskiej rej wodzą umysły nikłe, jest często spotykane tu wojowanie pewnikami o charakterze krańcowym oraz przerzucanie się opinii społecznej z jednej ostateczności w drugą.

Jedną z takich właśnie ostateczności było (a poniekąd i jest dotąd) wmawianie przez prasę ogółowi polskiemu, że kwestja polska przestała być kwestją europejską.

I rzecz szczególna. Któż to właśnie pogląd ów najgorliwiej rozpowszechnia? Oto ci akurat ludzie i te obozy, co najmniej okazują wiary własnym siłom narodu, co doradzają okazyjne konszachty polityczne, wyzyskiwanie rozmaitych zewnętrznych okoliczności i dyplomatyzowanie od wypadku do wypadku. Żywioty, które w rzeczywistości opierają wszystko na niezależnych od narodu „zmianach kursu”, na wpływach dworaków, na zakulisowych protekcyjkach, równocześnie głośno szerzą przeświadczenie, iż od czynników polityki europejskiej Polska niczego spodziewać się nie może, bo czynniki te gotowe są tylko ją eksploatować w widokach własnych, czego są dowody w historii ubiegłego wieku.

Mamy tu do czynienia z bijącą w oczy niekonsekwencją: pokładanie nadziei w siłach, społeczeństwu obcych, przy jednoczesnym pouczeniu tegoż społeczeństwa, że na pomoc obcą liczyć nie powinno.

Jest to przedewszystkiem efekt krytyki i zawo-

dów, na jakie wystawiona była dyplomacja polskiej ugody. Z jednej strony krytyka owa, ogłoszona przez żywioty demokratyczne, występując przeciw mizernym przedpokojowym konszachtom, wytykała za poznanie sił narodu i zaprzepaszczenie wiary w te siły; z drugiej—impotencja t. zw. „sfer przodujących” i coraz większe lekceważenie ich przez czynniki polityczne zarówno państw zaborczych, jak i postronnych, rodziły pesymizm.

Jedno i drugie sprawiło tyle, że ugoda (rozpadająca się dziś na „realistyczną” i „demokratyczno-narodową”) — ugoda, która w swoich szeregach liczy najwięcej „dyplomatów” i tem samem wywiera bardzo widoczny wpływ na orientację zewnętrzną—przyjęła i nawet zdołała spopularyzować doktrynę nieistnienia kwestji polskiej, jako kwestji europejskiej.

Doktryna ta, jak każda doktryna, jest oczywiście jednostronna. Mogła być ona bardzo dobra, gdy stanowiła przeciwwagę złudzeń, jakoby jedynym zbawieniem była dla polaków interwencja tego lub owego mocarstwa; jednakowoż sama w sobie nietylko za pewnik uchodzić nie może, ale wręcz fałszuje rzeczywistość.

Kwestja polska jest i nie może nie być kwestją europejską. Naród kulturalny, dwudziesto miljonowy, zamieszkujący sam środek Europy, a żyjący w warunkach wdsoco nienormalnych, niezdrowych, hamujących lub paczących jego ewolucję; naród, któremu dzisiejsze *status quo* chronicznie dokuca, rodząc niezadowolenie i gorycz, dającą się conajwyżej maskować — taki naród musi być ogniskiem fermentu. A im bardziej ferment ów jest głuszony,

zażegnany gwałtem lub półśrodkami, tem niebezpieczniej się przedstawia, bo nieznany jest i grożący niespodziewaną dywersją.

To też choć Europa chętnie o kwestji polskiej zapomina, kwestja ta nie przestaje być dla niej upiorem, który co pewien czas przejmuje ją lękiem i udyplomatów pozbawia pewności siebie,

Taką właśnie chwilę przeżywamy obecnie.

Możliwość wojny rosyjsko-austrjackiej zrodziła pytanie: jak się ewentualnie zachowa Polska. Zaniepokoiło to Londyn, zaniepokoiło Paryż, gromkiem echem odezwało się w prasie petersburskiej. Na dusery zdobył się tu nawet osławiony p. Mieński, który jął zasypywać polaków obietnicami, strasząc równocześnie Austrią, jako nieprzyjaciółką wolności słowiańskiej. Odezwały się i inne pisma, mniej wrogo usposobione, nawet zgoła przyjazne, ale równie — kto wie nawet, czy nie bardziej — ignoranckie względem stosunków polskich. Takie np. „Russkoje Słowo“ wyobraża sobie, że jedyną dla Polski sprawą dokuczliwą jest wyodrębnienie Chełmszczyzny. „Polska — czytamy tu — nie poznała jeszcze głębin miłości rosyjskiej; ona zna tylko *kiepską* (kursywa nasza, przyp. aut.) rosyjską administrację. Polska nie czytała „Eugienjusza Oniegina“... i t. d. Autor więc nawet tego nie wie, że „Eugienjusza Oniegina“ *musimy* w szkołach uczyć się na pamięć, choć arcydzieło to wolelibyśmy czytać z własnej, nieprzymuszonej woli.

W każdym razie słodkich słówek nie brak.

Znacznie powściągliwiej zachowuje się Wiedeń; najobojętniej — Berlin. Ostatni pozwolił sobie nawet w tej osobliwej chwili rozpocząć wywłaszczanie polaków.

Co to znaczy?

Czyżby mocarstwa trójprzymierza tak były pewne, że Polska jest niewątpliwym w ich rękę atutem? Czyżby się z kwestją polską nie liczyły?

Byna mniej! Wiedeń rachuje się z nią bardzo. Ale swoim polakom nie ma on nic do obiecywania; tu sprawy idą normalną koleją. Nadzieje budzić może tylko za kordonem, ale gra to niebezpieczną z rozmaitych względów. *Primo* — względ na przyjaźń berlińska; *secundo* — względ na Koło Polskie, od którego Wiedeń zbyt jest zależny, by mógł wabić je

mirażami. Boć rzeczywiście nic innego do ukazania nie ma. Miraże takie dobre są w prasie petersburskiej; na gruncie wiedeńskim pomyśleć się nie dadzą.

To jednak nie znaczy, by politycy austrjaccy nie czynili żadnych wysiłków dla skaptowania polaków. Ale działają oni nie za pomocą prasy nieurzędowej, lecz drogą jeszcze mniej obowiązującą: pocztą pantoflową. Już przeszło od roku kawiarnie lwowskie i krakowskie rozbrzmiewają tajemniczymi legendami o przymierzu socjalistów polskich z rządem austrjackim. Warunki układu, oczywiście, nikomu nie są znane — bodaj, czy wogóle istniećby mogły. To jednak nie przeszkadza, że bywają komentowane szeroko i szczegółowo, przekształcając to i owo marzenie w nadzieję mniej lub więcej prawdopodobną.

Wiedeń sam gawędy te sieje, wie o nich doskonale, lecz naturalnie żadnej na się za nie odpowiedzialności nie bierze, co zaakcentowane zostało w prasie i — via Berlin.

To jednak zgoła nie przeczy faktowi, że sympatje Polski wysoko są obecnie cenione; że jest ona z wielu stron to otwarcie, to znów cichaczem kokietowana.

Akcję tę wszakże komplikuje okoliczność, że w imieniu Polski nikt dziś żadnej odpowiedzi, ani obietnic dawać nie może. Natomiast możliwe są najdalej idące niespodzianki. Królestwo, które w rachubach najważniejszą odgrywa rolę, politycznie zorganizowane nie jest. Masy, trzymane sztucznie w ciemności, odosobnieniu i rozproszeniu, na wpływ słowa drukowanego mało są wrażliwe.

Są one zagadką. Zagadką też jest, co czem i w jakich warunkach zelektryzować je potrafi. I ta właśnie zagadkowość stanowi dziś główny atut ze strony polskiej — czego jednak rozmaici działacze wcale nie rozumieją i spieszą dawać przedwczesne zobowiązania.

Józef Sorokowicz.

JAN AUGUSTYNOWICZ.

2

Zastygła fala.

— Ty!... Kochałem cię, kocham, ale mi rzeczy takich nie mów. Nie mów! — tupnął. — Ja nie chcę, jak inni, rozumiesz? Ja nie będę, jak inni, rozumiesz? Nie potem ciebie brał, nie po to... Nie światem twoim jestem, ale duszą twoją! My — jedna dusza, jedno serce, czucie jedno. Ty, dziewczyno moja — przyciągnął ją nagle z rozrzewnieniem.

— Ty, dziewczyno moja... powtórzył z zadumą. Na złą, dobrą dolę poszliśmy, na wszelką. Jedno słońce dla nas i jeden mrok, jedno życie, śmierć jedna. Tak przecie być miało! Tak jest, Zośka, prawda? W długie, ciężkie, brzemiennie godziny dość skowytało bólem i rozpaczą serce, dość wyplakało się... W ciemne minuty, w podłe sekundy, cierpienia i tęsknoty... Tęsknoty! Gdy gnęło ciało, gdy nieruchomo drętwiało to, co zewnętrzne, — tam wewnątrz płomień pełgał. I co turmy, forty, głupie

Pawiaki, cytadele... Plwać mi na to, gdy dusza — nie boli.

— Nie bolała — przemówił z uniesieniem. — Wiedziałem dokąd idę i przy kim. Kochałem cię...

— Kochałeś mię... — szepnęła.

— Kocham cię! Och, kocham!

Usiadł na jakiejś ławce w altanie. Poszła za nim. Milczał.

— Kocham cię... A nie za te włosy przecie, oczy, nos i usta, nie za ciało twoje... Nie za to... Kraśne twe usta i oczy takie dziwne, i uszy, jak rzeźbione. Ciężkie, słodkie twe włosy, pachnące tak roskoszą, piękne piersi, małe śliczne piersi, ciepłe, żaru pełne ramiona i łono takie śnieżne. ale nie za to kocham cię! Nie za to tylko — poprawił. To, co mam, Zośka, dla ciebie, to, co mam, — czyż można równać z tem innym? Gdybyś straciła to wszystko, gdybyś inna się stała fizycznie, — nie tęskniłbym do twego ciała, Zośka, nie tęskniłbym, i szukałbym, — poco łąć? — innych kobiet może, szukałbym innego ciała, ale tęskniłbym do człowieka w tobie, tęskniłbym — do ciebie! Bo my jedna dusza, och, Zośka!

Mówił w czas jakiś z nową jakby zadumą:

CZWARTA DUMA.

Skończyły się wybory do czwartej Dumy. Prasa rosyjska poświęca wiele uwagi analizie wyników kampanji. Na ogół nikt nie jest z nich zadowolony.

Zainicjowana przed pięciu laty przez Stołypina metoda „robienia“ wyborów, znalazła gorliwych wykonawców wśród obecnych przedstawicieli administracji, działających, ma się rozumieć, z aprobaty zwierzchności. Duma drugiego powołania, obliczona na włościan, zawiodła nadzieje rządu swym silnie radykalnym nastrojem. Stołypin więc zdecydował się zasadniczo wpłynąć na zmianę nastroju nowej Dumy przez zmianę ordynacji wyborczej z dn. 13 czerwca, która miała zapewnić większość szlachcie, chętnej, według mniemania Stołypina, do popierania dążeń reakcyjno-nacjonalistycznych. P. Stołypin zawiódł się. Sztucznie zaszczerpiony nacjonalizm nie przyjął się należycie. W Dumie znalazło się zbyt mało jego wyznawców. To też wykonanie planów p. Stołypin musiał uzależniać od poparcia prawicy, nie zawsze mu przychylniej, oraz od licznej grupy październikowców gotowych do usług, ale żądających różnych wdzięczności. Gdy te zawiodły, październikowcy udawali opozycyjność. To też rząd p. Kowkocowa, który poszedł wreszcie z prądem kursu nacjonalistycznego, starał się o usunięcie nawet tych chwilowych wybuchów opozycyjności. Uruchomiono cały aparat administracyjny, który szczególnie energicznie działał tam, gdzie, na zasadzie poprzedniego doświadczenia, można było spodziewać się wyboru przedstawicieli opozycji; wprowadzono do walki wyborczej całą armję duchowieństwa, nad którem naczelną komendę objął p. Sabler; „wyjaśniano“ nieprawomyślnych wyborców setkami i tysiącami, utrudniano agitację wyborczą. Wszystko to robiono w celu wyrugowania zupełnego opozycji z Dumy i zapewnienia absolutnego tryumfu reakcji.

Jakie skutki dały wszystkie te wysiłki? Najlepszą na to odpowiedź dadzą wyniki ostateczne wyborów.

Według informacji Agencji Petersburskiej skład czwartej Dumy przedstawia się, jak następuje: prawica liczy posłów 142, nacjonałiści—74, październikowcy—79, muzułmanie—5, oba Koła polskie—15, postępowcy—32, kadeci—61, trudowicy—12, soc.-demokracja—13, bezpartyjnych jest 7. Wykaz ten nie jest wolny od błędów, które tu i owdzie prostują dzienniki lub sami posłowie, mylnie zaliczeni do danej grupy.

Niewątpliwie, po rozpoczęciu sesji Dumy, dane te ulegną jeszcze pewnym zmianom. Jednakże, zdaniem dzienników rosyjskich, te późniejsze przesunięcia partyjne poszczególnych posłów, nie zdołają zasadniczo zmienić ogólnego nastroju Dumy.

Zestawiając powyższe dane z odnośnemi danymi co do składu partyjnego III Dumy, okaże się, że zwycięzcami z walki wyborczej wyszły jedynie dwie partje: prawicowcy i kadeci. Popierani forsownie przez rząd prawicowcy wchodzą do IV Dumy z 94 nowymi mandatami, zdobytymi przeważnie kosztem październikowców, nacjonalistów i bezpartyjnych.

Druga zwycięska partja konstytucyjno-demokratyczna obecnie będzie się składała z 61 posłów, gdy w III Dumie posiadała tylko 52.

Natomiast zupełną klęskę ostatnie wybory przyniosły Związkowi 17 października, zwanemu popularnie partją „ostatniego cyrkularza“. Właśnie taktyka październikowców, którzy stale starali się przystosować do najświeższych prądów w sferach rządowych i zależnie od tego zmieniali swe przekonania, wywołała rozczarowanie w masach wyborców, którzy cofnęli poprzednie do niej zaufanie i zmniejszyli liczbę posłów październikowców o 52. Szczególnie dotkliwą jest dla nich porażka Guczkowa w Moskwie i Lerchego oraz von Anrepa w Petersburgu. Organ petersburski „Dzień“, mówi, że wybory moskiewskie były dla październikowców Mało-Jarosławcem, zaś wybory petersburskie przypominały im w zupełności przeprowadzenie przez Berezynę. Wybory petersburskie miały szczególne znaczenie i dlatego, że potwierdziły potępienie działalności kierowanej przez październikowców III Dumy, jakie przez swe vo-

— Nie orlica ty i ja też nie orzeł, nie wiem, dlaczego do twej duszy właśnie?.. Ale ty nie wiesz także, dlaczego ty do mojej? Szukaliśmy się? Los nas zetknął ślepy, ale, nie nie los żaden przecie, — bo my nigdy szukać się nie potrzebowaliśmy. My zawsze byliśmy swoi—dodał.

— My zawsze byliśmy swoi—powtórzyła.

— My musimy się rozumieć, bo nie możemy się nie rozumieć! Słyszysz, Zośka. Jakążbyś połową duszy mojej była i jaką ja twojej, gdybyśmy się nie rozumieli? Ty byłaś moja... Nietylko kochanka moja... Przecież i we mnie nie ciało ty jedynie?..

Wzięła go za rękę i uściśnęła mocno.

— Kocham cię tak... mój bracie! — szepnęła — mój przyjacielu... duszo duszy mojej...

Pochyliła się, by złożyć na dłoni jego pocałunek, lecz wyrwał ją jej szybko.

— Pamiętasz?.. pamiętasz?..—mówił. Dwa lata byliśmy w rozłące tak okrutnej! Pamiętasz, Zośka? Gnilem na Pawiaku, a później w „Aleksieju“, aż wreszcie przyszedł wyrok: szubienica. Nic więcej: szubienica. Życie, młodość, przyszłość — wszystko w otchłań padło. Świat, pragnienia, marzenia — fikcja. Matka, ojciec, rodzeństwo — wspomnienie.

Kochanka? Oto mieli przyjść, założyć pętlę na szyję, cisnąć w próżnię, jak szczenię. Charkot, rżenie, trzask suchy—i po wszystkim. Kochanka?

Zaskowyczało serce, zadrgały tęsknotą zmysły. Wspomniałem twe włosy pachnące—długie takie pewnie, poczułem twardość twych piersi, których nagich nigdy nie widziałem, poczułem ciepło cudu — ciała twego, któregom nigdy nie upieścił, w które nigdy nie wgrzyłem się płaczącym szalem pożądania, słodkiem uwielbieniem pijanych dreszczem pragnień... Nigdy, nigdy nie miałaś być moja — nawet w ostatniej śmiertelnej mej godzinie. I nigdy nie miałem poznać zachwyty czyniącego ukojenia oddania się kobiecie, której atom każdy, każda cząstka tak bezgranicznie utęsknione były. Stałaś gdzieś daleko, w światłości jakiejś bezkresnej, sama światłość może i czekałaś, bym przyszedł. Wabiłaś, a usta szeptały milczące słowa, padające, jak roztopiony ołów na krwawiące serce i przegryzające je. Tu zaś, bliżej jeszcze, przed tą jasnością promienną, majaczył szkielet szubienicy, — nie wiem, czy na podwórku więziennym, czy też w oczach duszy tylko?..

Wzdrygnęła się. Przytuliła się ramieniem do niego i, drżąc, patrzyła przed siebie z przerażeniem.

tum wyraziła już Moskwa. Ta jednomyślność poglądów posiadającego liberalne tradycje kupiectwa moskiewskiego i skoligaconej z ogólną biurokracją burżuazji handlowo-przemysłowej Petersburga, zdaniem gazety „Dień,“ powinna wreszcie skłonić obecny rząd z ministrem finansów na czele do zastanowienia się nad sprawą dalszego kontynuowania dotychczasowej polityki nacjonalistycznej.

Partje opozycyjne, prócz kadetów, wszystkie wyszły z wyborów z pewnymi stratami. Najdotkliwsze straty poniosła frakcja muzułmańska, gdyż straciła prawie 45 proc. Następnie Koło polskie łącznie z Kołem polsko-litewskim straciło 3 mandaty z liczby 18-stu.

Pomimo tych strat, opozycja zdołała utrzymać ogólną dotychczasową pozycję w Dumie. Nie pomogły tutaj „wyjaśnienia“ komisji wyborczych i Senatu i wszelkie środki represyjne. To też „Russkoje Słowo“ słusznie twierdzi, że ocalenie poprzedniej pozycji w takich warunkach musi być uważane za zwycięstwo. A jaką byłaby IV Duma, gdyby nie wykraczano nawet przeciw niezadawającej nas ustawie wyborczej z dnia 3 czerwca? — zapytuje organ moskiewski. Odpowiedź bardzo prosta: — Opozycja posiadałaby znaczna większość.

Wyniki kampanji wyborczej przyniosły jedną jeszcze niespodziankę. Pod wpływem akcji nadprokuratora Synodu, p. Sablera, który do walki wyborczej zmobilizował całe duchowieństwo, obawiano się zresztą zupełnie słusznie, sądząc z wyników prawyborów, zalewu Dumy przez duchowieństwo. Tymczasem ostateczne wyniki wykazują, że duchowieństwo nawet straciło jeden mandat i obecnie w IV Dumie będzie miało 42 przedstawicieli.

Reasumując ogólne wyniki wyborów, stwierdzić należy, że usiłowania rządu w kierunku zapewnienia Dumie olbrzymiej większości reakcyjnej, niezupełnie osiągnęły powodzenie.

Wprawdzie najświeżsi pupile-prawicowcy odnieśli świetne zwycięstwo, jednak opozycja pozostała przy poprzedniej pozycji, a skutki niełaski

rządu spadły na chwiejnych paździenikowców i niedawnych faworytów — nacjonalistów.

Analizując wyniki wyborów, dzienniki rosyjskie zastanawiają się nad tem, jak się ułożą stosunki partyjne w czwartej Dumie. Gdy nadchodzić zaczęły pierwsze wiadomości o wynikach wyborów, wyrażano powszechne przekonanie, że Duma czwartego powołania będzie miała jedynie dwa skrzydła: prawe i lewe, natomiast pozostanie bez centrum. Okazuje się atoli obecnie, że mniemanie to było nieco przesadne. Obliczenie wykazuje, że prawicowcy i nacjonaści ogółem posiadają 215 głosów, t. j. 48,5 proc., zaś partje opozycyjne rozporządzają 138 głosami, t. j. 32 proc. Otóż wobec takiego stosunku tych grup, paździenikowcy, stanowiący ogółem prawie 18 proc., nabierają pewnego znaczenia, jako czynnik, który, odgrywając rolę wahadła, w pewnych wypadkach może przeważać szalę zwycięstwa w głosowaniach dumskich na rzecz opozycji.

Jakie jednak stanowisko zajmą paździenikowcy, na razie niewiadomo, gdyż nieznane są dokładnie poglądy nowych posłów paździenikowców.

Wprawdzie wybitny członek tej partji, Szubinski, zapewniał współpracownika „Rieczy“, że paździenikowcy zachowają swą samodzielnosc i spóldziałalność będą z partjami konstytucyjnymi, jednakże prawicowcy ogłaszają już, że z pewnością rozbiją pozostałe bez naczelnego wodza resztki oktobryzmu i pociągnąwszy ku sobie prawe ich skrzydło, stworzą trwałą większość.

„Nowoje Wremia“ wypowiada zdanie, że dość silny środek mógłby powstać przez połączenie paździenikowców z nacjonalistami. Wszak Stołypin doprowadził do skutku faktyczny sojusz tych dwóch partji i na nim się opierał aż do końca swych rządów.

„A jaki być powinien kierunek pracy prawodawczej — pisze „Nowoje Wremia“ (t. j. mówiąc inaczej kursu politycznego) — o to chyba nie trzeba się sprzeczać. I jeżeli władza nie okazuje inicjatywy w opracowaniu określonego programu w duchu poprzedniego kursu, to powinny ją oka-

— I cóż! Miało się skończyć! Skończyć. A więc... Jedno życie przecież! Młodość? Przyszłość? Oto przyszłość właśnie. I gdzieś w deskach jakichś, w dole jakimś... Eech...

Wstrząsnęła się.

— Kochanka? Gineła gdzieś, jak i wszystko zresztą. Miraż? Mirażem była pewnie, jak życie może także? A jeśli była, — nie było jej już przecie. Gdzieś, kiedyś, przedziej, później, po latach krótkich, długich, po płakanych nocach, po szalach cierpienia i bólu — w innych jakichś objęciach ugasił — pragnienie, inne jakieś usta zaszepcą ukojenie. Ale cóż? Ciało tylko przecie, temu, co z niem związane. Ciało... A dusza? W więzieniu, wszędzie — byłaś duszą przy mnie. Tego nikt nigdy wydrzeć mi nie zdołał! Wyszpiclowały cię oczy żandarmskie, wywęszyłyby wszelkie spojrzenia, gdziekolwiekbyś tam była. Ale twej duszy nie wytropiliby nawet oni. Katować, sponiewieraćby cię mogli, jako innych także, ale do duszyby nie sięgli. Co: dusza? Dusza — onil! Zaśmiał się.

— Przywarłabyś tą duszą do straszącego na skrzypiącym drewniaku upiory, runęłabyś nią pod głuche wieko skrzyni, uleciałabyś wraz z moją w bez-

kres promienisty. A jeśli tam niema niczego, jeśli to się zdaje, — skonałabyś przy mojej, stopiona w martwą jedność. Ciało twe żyłoby, lecz dusza, co zakwiliła przy ostatnim tchnieniu brata, zostałaby w nicości. Tak ty, siostrze moja, jedna ze mną, zczekałabyś we mnie, jak ja w tobie — na wieki. O, siostrze, siostrze...

Łzy padały z jej oczu na dłoń jego i zastygały palącym brzemieniem. Cicha radość rozjaśniła mu żrenice, — patrzył w przestrzeń, jak gdyby widząc myśl swoją.

— Na wieki duchem — szepnął. Ślub ten odbył się dawno... Nie znałem cię... a jednak — znalazłem cię. Oto dlaczego rozumieć nam się trzeba. Dlaczego i myślą jedną...

Nie skończył. Osunęła mu się do kolan.

— Jura!

Porwał ją, podniósł, przytulał długo, długo:

— Dziecko!

Łzy ściekały jej z pod powiek, z szczęściem dawała twarz do pocałunków...

— Jura!

Mówił szybko:

— Pracować będziemy, Zośka! Budować przy-

zać te frakcje, które opracowywały program Stolypina w trzeciej Dumie.

„Trwałe porozumienie pomiędzy październikowcami a nacjonalistami zaraz na początku odpowiedziałoby temu celowi. Partje, kierujące trzecią Dumą, powinny zaraz pokazać, że czują się na siłach do utrzymania kierunku pracy prawodawczej i w czwartej Dumie. Sił mają dosyć, gdyż pomimo dużych strat w kampanji wyborczej suma głosów dwóch frakcji przewyższa i prawie i lewe skrzydło, wzięte oddzielnie. A więc potrzeba tylko okazać dostateczną ilość energii, ażeby zmusić do uznania również i moralnego autorytetu. Od tego środka powinny partje rozpocząć, ażeby ich przeciwnicy i z prawicy i z lewicy od pierwszych słów zrozumieli, że środek dumski istnieje jak poprzednio i że niema szans na rozbięciu go na drobne cząstki“.

Powyższy ustęp należy rozumieć chyba w tym sensie, ażeby październikowcy ostatecznie się zlikwidowali i zleli ze związkiem nacjonalistycznym, czyli z umiarkowaną prawicą. W takim razie większość Dumy składałaby się tylko z prawicy umiarkowanej i nieumiarkowanej.

Quod erat demonstrandum!

Novus.

Bilans wyborów litewskich.

Rezultaty wyborów litewskich (w gub. suwalskiej i kowieńskiej) nie były wprawdzie zupełną niespodzianką dla osób, lepiej obeznanych ze stosunkami litewskimi, w każdym razie wynagają pewnych wyjaśnień ze względu, iż w wynikach wyborów tych zaznaczył się zwrot społeczeństwa litewskiego w prawo i jednocześnie uwidatniło się ostre starcie sprzecznych prądów.

W wyborach do trzech Dum poprzednich litwini bez ostrych starć wewnętrznych delegowali posłów mniej lub więcej społecznie radykalnych, łączących w każdym razie sprawę litewską z ogólną sprawą opozycji w państwie. Na tym gruncie

w społeczeństwie litewskim ostrych rozdzźwięków nie było. Litwini we wszystkich trzech Dumach chlubili się reprezentacją szersze wolnościową, której w żadnym razie konszachców i kompromisów z partjami rządowymi zarzucić było niepodobna.

W I Dumie posłowie litewscy zasiadali w szeregach kadetów i „trudowików“, w II Dumie większość ich składała się z żywiołów społeczno-demokratycznych (wszyscy posłowie litewscy — kowieńscy), w III Dumie posłowie — litwini, których ilość została na skutek nowej ordynacji wyborczej z d. 9 czerwca uszczuplona, zasiedli na ławach grupy pracy, jeden zaś, p. Kuźmo, należał pierwotnie do frakcji społeczno-demokratycznej.

Wiadomo wprawdzie było, że w społeczeństwie litewskim równoległe do radykalnych prądów ludowych istnieją też prądy klerykalne i skrajnie nacjonalistyczne, społecznie wsteczne, walczące ze sobą o zakres wpływów, wiadomo było, że rozłam między klerykałami i demokratami (mówię o dwóch głównych obozach, poza którymi byli jeszcze nacjonałiści świeccy i społeczni-demokraci), datujący się jeszcze z czasów przedrewolucyjnych, bynajmniej nie zniknął w ogniu rewolucji, atoli w akcji parlamentarnej, w stosunku do państwa i systemu rządów, — rozdwojenie to się nie ujawniło.

Rewolucja r. 1905 i okres bezpośredni porolucyjny spotęgowały znaczenie i wpływy radykalnego obozu ludowego, reprezentowanego przez demokratów i socjalistów. Wpływy klerykalne były w tym okresie względnie nikłe, nacjonałiści świeccy nie wyodrębnili się jeszcze ostro od demokratów, nie odważyli się wystąpić kategorycznie wrogo względem radykalizmu społecznego, popularnego w masach włościańskich. Grupy te, społecznie konserwatywne, natomiast bardzo jaszkrawe w aspiracjach narodowościowych, były w tym okresie skonsternowane, rozproszone, niepewne wpływów swoich.

Zwrot w kierunku wybitnego skonsolidowania się prawicy litewskiej dokonał się dopiero o ostatnich latach, t. j. już w czasie trwania III Dumy państwowej. Klerykali z wielką właściwą im umiejętnością organizacyjną, pozakładali, wzglę-

szłość, Zośka! Dźwigać gmach ten, w którym tyle, tyle już krwi i potu i łez i bólu i nieszczęść i zgrzytań i jęków, przekleństw, nędzy, niedoli, sromu, w którym rozpaczy tyle i skonów, gdzie od kości biało... Ale trzeba, Zośka. Ale to szczęście, Zośka. Ale to świętość. Zośka. Przyjdzie dzień... przyjdzie dzień, Zośka! I wszystko jedno, czy my go ujrzymy. Nie ujrzymy, Zośka. Zjedzą nas, poharńią i zbeszczeszczą, naplują na nas, w gnój rzuca. Pokopią i oplwają, a inni na stryk wezmą. Nie o to idzie, Zośka! Wywlekać kości nasze i w nowy gnój rzuca, oświnia, zohydzą, ale nie o to idzie, Zośka! Nadejdzie czas, nadejdzie czas... A jeśli i nie przyjdzie nigdy — nie zginie nic... Bo żyć trzeba przecie. Przeklęty, kto chlebem dla kałduna...

Kłęcząca przy nim. Cichy szepć zbiegał z zbladłych warg jej i tężał niewyjawion. Policzki oparła o kolana jego, przywarła.

— „Czy można“? — rzekłaś — mówił już cicho i łagodnie — czy można tak zawsze? — Ach, tak nie wolno, Zośka! Bo i jakże, jakże? Wysiłki lat, krwawica... Tylu, tylu, co cisnęło, tylu odmienców ciągle... Tylu — Judaszów...

Skrzywiła się z boleścią.

— Nie, Zośka, wiem... Bez egzaltacji, bez frazesów, bez giestów ci to mówię, nie można i tak myśleć! Za innych pójdziem dalej... I niech oplwają... psy.

— Zośka, Zośka; Towarzyszka! Partyjniczka! Nasza dziewczyna! Nasza gwiazda jasna! Och, Zośka, kochali my cię — rzekł z tęskną zadumą — kochamy. Ty moja, — bo czyż można wszystkich? Ale oni ciebie kochają, jak druha się swojego kocha.

— Tyle pracy mię czeka — rzekł jakby do siebie. Nim do swoich wrócę — z Krymem tu nici nawiązać, z Kaukazem. Do Sewastopolu mi trzeba, do Symferopolu, do Noworosyjska. Do Noworosyjska — powtórzył. A później. Batum, Tyflis... Baku — przypomniał sobie jakby.

Umilkł.

— Zocha, Zocha? Partyjniczka nasza! Ejże, ile pracy to będzie, ile pracy! Da Zośka znowu dowody! Ty, głowo, głowo — mówił z dumą, patrząc na nią bystro. Któż odgadnie, co w tej powłoce mej „damy“ się ukrywa, co „dama“ ta potrafi? Dzidus... — przytulił się do niej nagle pieśczośliwie.

— Taka piękna jesteś, a taka — groźna. Żaden

dnie opanowali instytucje społeczne i kulturalne litewskie, zwłaszcza te, które dotyczą bezpośrednio stosunków wiejskich i życia włościańskiego. Poważne i silne towarzystwo oświatowe „Saulė“ w gub. kowieńskiej, towarzystwa oświatowo-kulturalne i zawodowo rolnicze w gub. suwalskiej, jak „Žiburys“, „Žagre“, rozgałęzione towarzystwo trzeźwości „Blaiivybe“, zakładające w niezliczonych oddziałach parafjalnych herbaciarnie, czytelnie i t. d., stały się potężnym narzędziem wpływów klerykalnych.

Równolegle szereg towarzystw i związków, pozakładanych w latach rewolucji i będących w ręku demokratów i ludowców, znika z widowni, nie dla braku środków i poparcia ludu, ale „z przyczyn niezależnych“, to znaczy w drodze represji władz rządzących.

Dalej ruch kooperacyjny włościański, który się w gubernjach litewskich wcale pokaźnie rozwija, zostaje też opanowany przez wpływy księży, stanowiących w wielu miejscowościach wiejskich jedyną inteligencję lokalną, zbliżoną do ludu.

Następnie kler utrwał własne silne placówki w prasie litewskiej ludowej, aczkolwiek w tej dziedzinie nie zdołał, pomimo użycia bardzo ostrych środków, podkopać prasy demokratycznej, która jest dotychczas jedyną niemal mocną placówką wpływów postępowych wśród ludu. Poza sferą wpływów swoich zostawił kler tylko takie wielkie towarzystwa litewskie ogólnonarodowe, jak naprz. „Litewskie Towarzystwo Naukowe“ i „Litewskie T-stwo sztuk pięknych“ w Wilnie, które właściwie politycznego znaczenia nie mają i na kierunek społecznej myśli nie wpływają. Zdobywczość kleru ogranicza się przeważnie do tych funkcji życia narodowego, które bezpośrednio sięgają warstw ludowych.

W tym samym okresie czasu świeckie elementy nacjonalistyczne również się skupiły i wytknęły własną linię, odbiegającą stanowczo od kierunku demokratycznego. Główną placówką elementów tych stało się pismo „Viltis“, wychodzące w Wilnie. Podczas gdy działanie klerykałów skierowane jest przeważnie na lud, działanie świeckich elementów nacjonalistycznych skierowane jest ku

zdobyciu wpływów na inteligencję. Zresztą nacjonalisci świeccy działają w ścisłym porozumieniu i sojuszu z klerykałami, w których dostrzegają siłę istotną i z którymi łączą ich tak konserwatywne aspiracje społeczne, jak wspólne metody demagogii nacjonalistycznej. Sojusz z klerykałami potęguje znakomicie stanowisko i wpływy nacjonalistów świeckich. Pismo „Viltis“ stało się ważnym czynnikiem kształtowania się opinii litewskiej i wspólnym z naczelnym organem klerykałów „Szaltinis“ rozpoczęło energiczną kampanję w celu wyrugowania wpływów radykalnych ze społeczeństwa.

Te przeobrażenia wewnętrzne, które się dokonały w układzie sił i kierunków narodowych litewskich, stanowią proces ciągły, bynajmniej jeszcze dotychczas nie zakończony. Prądy nacjonalistyczne nie tylko że działają w łonie odpowiedniej grupy zespolonej, ale przenikają też do obozu demokratów, rozkładając takowy.

Dezerterzy z obozu demokratów litewskich nie są zjawiskiem wyjątkowym, a nawet wewnątrz szeregów demokratycznych wytwarza się również silna grupa prawicy, nie odrywająca się formalnie od jądra, ale ciężąca wyraźnie do ugody z nacjonalistami i coraz mniej się licząca z zasadniczymi postulatami swojej grupy.

W tych warunkach jeszcze w czasie funkcjonowania III Dumy powstać musiał i istotnie powstał rozdział zasadniczy między aspiracjami i dążeniami narastającego nacjonalizmu i klerykalizmu litewskiego w społeczeństwie, a działalnością radykalnej reprezentacji litewskiej w parlamencie. Oczywiście, że główny impet natarcia klerykałów i nacjonalistów skierowany być musiał na najwybitniejszego z posłów litewskich w III Dumie, Bułata. To też jego osoba stała się pierwszym celem pocisków klerykalno-nacjonalistycznych.

Zarzuty, podnoszone przez spółkę klerykalno-nacjonalistyczną przeciwko działalności parlamentarnej posłów litewskich z p. Bułatem na czele, dają się streścić w sposób następujący. Posłowie litewscy bawią się w fanfaronadę polityczną, uprawiają bezmyślnie jakąś opozycję nieprzejednaną,

z „aniołów“ o tem nie wie. Cha, cha! Spojrzeliby inaczej na cię.

Siedziała cicha.

— Ty, ty! — uśmiechnął się. Błysnęły oczy, rozrzewnienie wypelzło z ust kątów,

— Nie znają cię, ma dzielna. Nie znają cię, ma groźna. Tańczyłyby psubraty... skamlałyby o twą skórę. Zadrżał. Lęk skłębił mu się w oczach, — nagle, skądś spadły. Jakby nie myślał nigdy dotąd o tem. Obejrzał się z przestachem.

— Niech nie poznają — zaszeptał.

Wpatrzył się w tę twarz tak drogą, tak drogą... O, ty ukochana! — pomyślał. Kładł oczy na te rzęsy, róż jagód, wargi — wiśnie... Poczul i zrozumiał z jasnością, przerażającą, że to jest jego *wszystko*.

— Ona — i sprawa.

Silny prąd strachu wstrząsnął nim na nowo. Jakiś spazm chwycił go za gardło. Boże... — jęknął.

Spojrzała zalekniona. — Co ci, Jura?... — zawołała.

Przychodził do siebie.

— Nic... dzieciństwo. Zdało mi się na chwilę, że ciebie chcę zabrać, Zośka.

Westchnął, jakgdyby kamień z piersi strącał. Przypadła ku niemu.

— Jura!

Zwarli się w długim, długim uściśnieniu. Czul lekkie falowanie jej małych krągłych piersi, twarz owiał mu gorący szybki oddech. Tulił ją ramieniem silnym, męskim, szukając raz jeszcze w toni oczu wyrazów miłości i oddania.

— Nie żyłbym, gdyby...

— Nie mów... — zdławiła mu usta pocałunkiem.

— Kiedyś... rzekną... wspomną może... Kiedyś...

Zofja Sztrautowna — Pożyniecka... Jerzy Pożyniecki... żyli... czuli... cierpieli... chcieli czegoś... Świtu chcieli — wybuchnął.

— Świtu, gdy mroki i groby dokoła... — kończył.

— Nie, nie trzeba! — krzyknął. — Pójdziemy w swą drogę bezimienną, jak dotąd, dalej, dalej. Bezimiennie, bezimiennie! — zajaśniał radością i uniesieniem. — Bezimiennie!

Objął ją i przytulił znowu.

zasilają szeregi skrajnych wywrotowców rosyjskich, zapominając o potrzebach aktualnych ludności litewskiej, której jeno przez taką akcję szkodzą, dyskredytując jej lojalność w oczach rządu i nic wzamian dla niej nie osiągając. Posłowie tacy są dla narodu litewskiego szkodliwi; występy ich nie są, jak być powinny żmudną pracą organiczną nad zdobyciem dla litwinów możliwie jaknajszerszego zakresu praw i ulg, jeno są osobistymi popisami aktorów, dla których giest i frazes jaskrawy wystarcza za czyn realny. Zamiast być donkiszotami dyskredytowanej i upadłej rewolucji rosyjskiej, powinni oni, pełniąc sumiennie swą narodową s' uzbę obywatelską, brać do serca nędzę i troski żywotne ludu litewskiego, przejąc się gorąco pragnieniem poprawy bytu swych rodaków i osiągać sukcesy drobne a trwałe choćby w drodze kompromisu i z narażeniem się bezsilnemu frazesowi radykalnemu.

W zarzutach tych ujawnia się, jak zwykle, demagogja ugody, ubrana w płaszczek nacjonalizmu, zapominająca o tem, że żywotne interesy narodu nie mierzą się miarą kompromisu chwili bieżącej za wszelką cenę, jeno wymagają postulatów, opartych na głębokiej syntezie całokształtu stosunków kulturalnych i społecznych.

Pod tym wszakże hasłem prasa klerykalno-nacjonalistyczna litewska rozpoczęła namiętną kampanję przeciwko Bułatowi.

To też gdy w Dumie poseł kowieński, Kuźmo, wystąpił z frakcji społeczno-demokratycznej, motywując krok ten niezgodnością agrarnego programu socjalistycznego, jako zbyt doktrynerskiego, z realnymi potrzebami włościan litewskich, których sprawy on, poseł włościański, bronić powinien, klerykali i nacjonalisci powitali czyn ten z uznaniem.

Na tle antagonizmu osobistego między Bułatem i Kuźmą i na skutek wielu względów głębszych oraz w związku z sympatją, którą otoczyli go klerykali i nacjonalisci, poseł Kuźmo rychło dokonał ewolucji od skrajnej lewicy do nacjonalizmu. Odtąd stał się on w prasie nacjonalistycznej wzorem doskonałości poselskiej, wcieleniem patryjotyzmu i cnót obywatelskich, zwłaszcza zaś odkąd w mowie, wygłoszonej w sprawie języka litewskiego w samorządzie miast suwalskich, poczynił niedwuznaczne aluzje do kompromisu z nacjonalizmem rosyjskim i z obecnym ustrojem państwowym.

Tak stanęły rzeczy w chwili wyborów do IV Dumy.

Punkt ciężkości kampanji antydemokratycznej przenieśli klerykali i nacjonalisci gub. suwalską dla obalenia znienawidzonej przez nich kandydatury Bułata. W gubernji tej na skutek szczegółów ordynacji wyborczej, walki wewnętrzne między stronnictwami i kierunkami litewskimi mogą się swobodnie wyrażać bez szkody dla narodowego litewskiego charakteru reprezentacji poselskiej (zwycięstwo litwinów, jako takich, jest tam zupełnie pewne).

Poseł Bułat, gorący patryjota litewski, ale społecznie radykalny demokrat, okrzyczany został omal że nie za wroga litwinów (!). Walka była ciężka, prowadzona z bezwzględnością niezwykłą, brutalnie — po amerykańsku. Charakterystyczne cechy walki tej były już omówione w numerach poprzednich „Przeglądu Wileńskiego“. W rezultacie p. Bułat upadł i — nie należy się łudzić — upadł nie wypadkowo tylko. Wprawdzie kampanja klerykalno-nacjonalistyczna była poparta

przez presję rządową, jednak upadek Bułata był zbyt jaskrawy, aby się dał wytłomaczyć tylko względami natury zewnętrznej.

Niezmiernie charakterystyczny był manewr, użyty przez klerykałów dla przeforsowania do Dumy kandydata własnego, obecnego posła ks. Łaukaitisa, z pomocą nacjonalistów, którzy woleliby niewątpliwie kogoś innego. Oto klerykali wysunęli przeciwko demokratom i Bułatowi kandydaturę dr. Basanowicza. Ks. Łaukaitis był wymieniony tylko jako kandydat rezerwowy. Osoba dr. Basanowicza, senjora ruchu litewskiego, założyciela ongi pierwszego pisma narodowego, człowieka pełnego zasług w społeczeństwie litewskim, jest otoczona taką aureolą popularności, że mogła z łatwością zyskać sympatję ogromną, bez względu na jego specjalne osobiste kwalifikacje poselskie.

Kandydatura dr. Basanowicza zdobyła odrazu gorącą sympatję nacjonalistów oraz mas szerokich. Pod tą firmą dokonały się prawybory i wypadły całkowicie po myśli głównych organizatorów akcji, klerykałów. Zwolenników demokratycznej kandydatury Bułata było zaledwie czterech (włącznie z kandydatem), wybranych zresztą od miast, głosami nie samych tylko litwinów. I oto gdy klerykali zdobyli tą drogą większość niewątpliwą, firma popularna dr. Basanowicza stała się dla nich niepotrzebna. Zlikwidowali też ją bez skrępowań, zastępując poprostu kandydaturę dr. Basanowicza (bez jego udziału i woli) kandydaturą ks. Łaukaitisa...

W gub. kowieńskiej, gdzie wogóle prądy radykalne wśród przeważającego włościaństwa małorolnego są trwalsze, niż wśród zamożniejszego włościaństwa gub. suwalskiej, i gdzie ordynacja wyborcza jest bardziej skomplikowana i stwarza dla litwinów pozycję słabszą wśród grup innych narodowości, akcja klerykałów i nacjonalistów wydała mniej świetne dla nich wyniki. Udało się im tu przeforsować na posła jednego tylko ze swych kandydatów, Yczasa, i to jeno przez bardzo misterną robotę zakulisową, przy oparciu się na najmniej uświadomionych elementach włościańskich i na ciężącej ku nim prawicy demokratycznej, o której wyżej wspominałem. Jakim będzie Yczas — niewiadam, albowiem celuje on w umiejętności nieujawniania przedwcześnie oblicza swego. Z pewnych oznak mogłoby się nawet zdawać, że jest on demokratą szczerym, gdy znów z innych może uchodzić nawet za klerykała (choć jest kalwinem!). Dwaj inni litewscy posłowie kowieńscy, były poseł Kejnjs i Januszkiewicz, są demokratami, którzy z całą stanowczością w żadne układy z reakcją nie wejdą.

Nieco uwagi należy poświęcić jeszcze stanowisku ziemian-polaków w wyborach kowieńskich. Wobec istniejącego na wyborach gubernjalnych bloku litewsko-żydowskiego, rozporządzającego bardzo szczupłą większością, wyborcy polscy chcieli oprzeć swoje zwycięstwo nad powyższym blokiem przez wyszukanie wśród włościan elementu warcholskiego (gotowego do złamania solidarności włościańskiej dla zyskania mandatu osobistego), skaputowania go i przeforsowania przy jego poparciu posłów tak swoich, ziemiańskich, jak włościańskich podług własnego widzimisię.

Jeżeli przy obecnej kurjalnej ordynacji wyborczej, choć zasadniczo złej i antydemokratycznej, ale ostatecznie przyjętej i stosowanej, jeden mandat należy się z urzędu kurji ziemiańskiej, to zrozumiałe jest dążenie wyborców-ziemian do

tego, aby mandat ten otrzymał kandydat z wyboru samych ziemian, nie zaś przez narzucenie go przez inne kurje.

To samo zresztą i na tej samej zasadzie należałoby się naprz. i włościanom w gub. wileńskiej, gdzie jednak ziemianie, posiadający w kolegium wyborczym większość, nie wahają się decydować samodzielnie o wyborze posła włościańskiego.

Ostatecznie za tą zasadą, że poseł z kurji ziemiańskiej w gub. kowieńskiej ma być przez samych ziemian wskazany, nie zaś wyznaczony przez blok włościańsko-żydowski, wyborcy ziemiańscy obstawiać by mogli z pewną słusnością. Może zostaliby zwyciężeni — to rzecz inna, ale mieliby za sobą podstawę pewnego zasadniczego pojmowania sprawiedliwości, a osobiście sędzę, że mogliby tą drogą nawet istotnie otrzymać mandat po myśli swojej i jednocześnie zyskać moralnie.

Co zaś osiągną w obecnej taktyce swojej? Wprawdzie jeden mandat tym razem posiadli, ale na dalszą metę zyskali jeno rezultaty ujemne.

Opieranie się na elemencie warcholskim, łamiącym karność organizacyjną odpowiedniej grupy swojej dla widoków osobistych, działanie przez intrygę, — jest zawsze ujemne i musi być źle widziane, a w danym razie z pewnością się nie przyczyni do nawiązania jakiegoś lepszego spółzycia i wiary wzajemnej między odpowiednimi grupami społecznymi.

Dzięki takiej taktyce ziemianie kowieńscy zyskują w społeczeństwie litewskim wyraźną niechęć, korzyści zaś realnych dla stanowiska swego w kraju nie zdobywają.

M. R.

Kooperacja a polityka.

Sprawa kooperacji w naszym kraju traktowana jest dotąd przez społeczeństwo po macoszemu. Prócz jedynej instytucji „Towarzystwa popierania kooperacji“ obejmującej nieliczną grupę ludzi i istniejącej dzięki energii i wytrwałości li tylko jej prezesa p. A. Szklennika, niema w całym kraju żadnego ośrodka, w którymby była omawiana i poważnie traktowana kwestja kooperacji.

Sprawa ta jednak wielkiej jest wagi i doniosłości społecznej.

Pomijając już nader ciężkie warunki polityczne dla wszelkich zrzeszeń i zebrań, gdzieby można było omawiać i radzić nad potrzebami ludu pracującego, co jednak w znacznym stopniu dałoby się skutecznie na zebraniach członków instytucji spółdzielczych, zakładanie i prowadzenie w należytym kierunku dobrych instytucji przysparza społeczeństwu bezpośrednio i pośrednio bardzo wiele korzyści.

Powstaje w jakimś miasteczku sklep spożywczy. Zdawałoby się, że jest to zjawisko drobnego znaczenia, że obojętnem jest, czy w tym, lub owym sklepie ludność będzie się zaopatrywać w cukier, mąkę, herbatę. Pogląd taki stanowczo jest błędnym. Jeżeli tylko kierownicy spółki zdają sobie sprawę ze swych obowiązków i zadań, stowarzyszenie spożywcze odrazu przybiera charakter instytucji społecznej, nie zaś spekulacji handlowej. Sam fakt, iż spożywcy otrzymują artykuły w dobrym gatunku, prawidłowej wagi i miary, budzi w członkach stowarzyszenia zaufa-

nie do instytucji i wyrabia rzetelność w stosunkach. Kupno i sprzedaż wyłącznie za gotówkę uniezależnia spożywców od dostawców i nie obciąża ceny rynkowej procentem handlowym, co ma zawsze miejsce w sprzedaży na kredyt. Podział zysków pomiędzy członkami w stosunku do zakupów jest zastosowaniem sprawiedliwej zasady, iż zysk winien należeć do tego, kto go wytworzył; pozatem możność otrzymania dochodu ze sklepu zastępuje robienie oszczędności, co jest prawie niedostępne dla ludności uboższej. To są korzyści bezpośrednie; nie mniejżej, a nawet większej wagi są pośrednie korzyści, wpływające z instytucji spółdzielczych.

Wszelka kooperatywa, czy to spożywcza, czy wytwórcza lub kredytowa przekształca zasadniczo stosunki ekonomiczne, wyrugowując w pierwszym wypadku pośrednika-handlarza, w drugim przedsiębiorcę i w trzecim lichwiarza, którzy sami będąc tylko przedstawicielami kapitału, zagarniają cały zysk, odbierając go tym, który go wytworzył. W ten sposób na widownię dziejową występują nowe siły społeczno-ekonomiczne, które w przyszłości niewątpliwie zastąpią na rynku wszechświatowym wszechwładnie dziś panujący kapitał.

Dlatego jednak, aby to nastąpić mogło, klasa wytwórcza winna być należycie zorganizowana i przystosowana do objęcia przewodnictwa ekonomicznego. Do tego celu niewątpliwie prowadzi zrzeszenie się w spółkach spółdzielczych wszystkich trzech typów i połączenie wszystkich spółek w jeden związek, obejmujący kraj cały.

Takie są zasady i wytyczne prawdziwej kooperatywy, pozostającej wierną założeniom pierwszych kooperatystów — pionierów rochdalskich, którzy w 1844 r. założyli sklepik spożywczy z kapitałem 265 r., a w 23 lata później w r. 1867 wystawili ogromny gmach stowarzyszenia kosztem 133,000 rb., w 8 lat później w 1875 r. stowarzyszenie liczyło już 8,415 członków, posiadało kapitału 2,256,820 rb. i dało zysku 482,120 rb. Stowarzyszenie rochdalskie, jak wiadomo, znalazło wielu naśladowców, stowarzyszenia spółdzielcze poczęły się mnożyć z zadziwiającą szybkością i już w r. 1905-ym liczyły 2,259,479 członków, posiadających około 300 milionów rubli; obrót roczny stowarzyszeń dosięgnął miljarða rubli (942 milionów) i dywidenda za r. 1905 wynosiła 104 miliony rubli*).

W porównaniu z olbrzymimi cyframi, osiągniętymi przez kooperatywy angielskie, ruch spółdzielczy w naszym kraju należałoby uważać za dopiero powstający, bo też życie polityczne i kulturalne na Zachodzie Europy, a zwłaszcza w Anglii wyprzedziło nas conajmniej o dwa pokolenia.

Pierwsze stowarzyszenia spożywcze powstały w naszym kraju niespełna 10 lat temu, a jednak dziś, jak oblicza p. A. Szklennik w № 10 „Życia spółdzielczego“, podług wykazu Petersburskiego oddziału komitetu o towarzystwach spółdzielczych, w 6-ciu gubernjach Litwy i Białej Rusi w r. 1912 istniało 326 stowarzyszeń. W zestawieniu z ankietą sekcji kooperatystów przy Litewskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk i odpowiedziami, przysłanymi przez 52 stowarzyszenia, p. A. Szklennik wyciąga wnioski, że rocznie obrót wszystkich spół-

*) Patrz St. Wojciechowski; Ruch spółdzielczy i rozwój jego w Anglii. Warszawa 1907.

łek spożywczych w naszym kraju stanowi nie mniej 5.000.000 rb., a czysty dochód nie mniej 500.000 rb.

Widzimy więc, że i w naszym kraju niezamozna ludność pracująca (bo taka stanowi główny zastęp członków) przez zrzeszenie się i spółdziałanie wkroczyła już na drogę rozwoju swych sił ekonomicznych. Należy tylko kierownikom tych instytucji wyteńczyć baczną uwagę, aby były przestrzegane zasady istotnej kooperacji, aby pod maską kooperatystów nie wkradali się ludzie, mający zupełnie inną działalność na celu.

A że rozmaicie można rozumieć zadanie kooperatywu, najlepszym dowodem jest artykuł p. J. Hł. w № 240 „Kurjera Litewskiego“, gdzie autor stawia między innymi zarzut kooperatywowi, że nabywano towary od hurtowych składów żydowskich i że nie powinny jego zdaniem powstawać sklepy spółkowe w tych miejscach, gdzie są już sklepy polskie, aby nie stwarzać niepożądanego dla handlowców polaków konkurencji.

Pierwszy z wymienionych zarzutów jest dowodem błędnego mniemania, jakoby kooperatywy miały przestrzegać polityki antysemickiej. Nic podobnego. Takie cele są zupełnie obce wszelkiej istotnej kooperacji. Stowarzyszenie spożywcze ma za zadanie podnieść siłę ekonomiczną swych członków przez wyrugowanie pośrednika-handlarza i zabranie mu zysku zupełnie niezależnie, jakiej narodowości lub wyznania będzie ów pośrednik, przy zakupie zaś towaru ze składu hurtowego, obowiązkiem każdego stowarzyszenia jest kierowanie się wyłącznie względami interesu, nie zaś sympatji narodowościowej. Z polityką kooperatywy nie wspólnego mieć nie powinny, jeżeli nie chcą zejść na manowce i zginać.

Drugi zarzut, a raczej ostrzeżenie tegoż artykułu w „Kurjerze Litewskim“ również świadczy o niezrozumieniu zasad kooperacji. Zakładanie spółek spożywczych, jak już zaznaczyliśmy, ma na celu wzmoczenie i uświadomienie ekonomiczne licznych rzesz ludności pracującej, tej zaś doniosłej akcji społecznej przeciwstawia się interes osobisty kilku sklepikarzy lub firm handlowych, nazwany szumnie interesem narodowym. Jeżeli dla społeczeństwa ważnym jest posiadać zamożne warstwy kupieckie, to chyba nie mniejszej jest wagi podniesienie świadomości społecznej i kulturalnej setek i tysięcy ludności pracującej.

Nie racjonalnym jest wszelkie doradzanie wstrzymywania się od rozpowszechniania kooperatywu, gdzie ruch ten jest żywiołowy, z potrzeb ekonomicznych wynikły, który pomimo chęci i woli kierowników a nawet zakazów rozwijać się będzie, Zatać go nie sposób, można atoli go spacyfikować i wykoszlawić, jeżeli wprowadzić doń tę lub inną politykę nacjonalistyczną.

Identyczne tendencje widzimy w usiłowaniach bractw prawosławnych. Te ostatnie zrozumiały jak ważną rolę odegrają w społeczeństwie kooperatywy i postawiły sobie za cel opanować i pod swoje wyłączne wpływy zagarnąć powstające w kraju stowarzyszenia spółdzielcze, co też i uskuteczniają z powodzeniem w powiatach wilejskim i dziśnieńskim. Prawidłowy rozwój ruchu spółdzielczego w znacznym stopniu jest zależnym od jednolitości kierunku poszczególnych stowarzyszeń; nie da się tego osiągnąć bez zorganizowania związku krajowego lub związków rejonowych. Potrzeba takiej instytucji najzupełniej dojrzała już teraz, fizjonomia jednak zjazdu przedstawicieli stowarzyszeń byłaby niewyraźna ze względu właśnie na różno-

rodność tendencji, zabarwionych przeważnie polityką nacjonalistyczną.

Nie stronić przeto, nie wstrzymywać, lecz intensywnie pracować i popierać ruch kooperacyjny należy wszystkim jednostkom i instytucjom, które czy to z idejowych pobudek czy to ze względu na interes, hołdują zasadom kooperacji jako dźwigni ekonomicznej i społecznej szerokich warstw ludowych.

W. A.

Listy z Warszawy.

Po stanie chronicznym — stan zapalny.

Wybory na posła warszawskiego do czwartej Dumy państwowej zostały już zakończone — i powiedzmy odrazu: zakończone w sposób jaknajfatalniejszy dla kraju.

Gdyby w kraju żyjącym życiem normalnym mogły się zdarzyć wybory tak karykaturalne, jak głosowanie na *jednego* posła od miasta, liczącego blisko *miljon* mieszkańców i mającego w parlamencie reprezentować interesy w najwyższym stopniu zróżniczkowane tych mieszkańców; gdyby podobne połączenie dwóch jaskrawych sprzeczności było możliwe — wybory takie byłyby formalnością, odbiegającą daleko od areny życia publicznego i niezdołną nie tylko entuzjasmować, ale i interesować kogokolwiek z obywateli.

W Warszawie działo się inaczej, a przyczyny tego usiłowałem scharakteryzować w jednym z listów, poprzedzających wybory. Nie powracając do tych wywodów, powtórzę tylko wniosek, że wybory są u nas w Warszawie jedyną okazją, kiedy opinie polityczne mogą się dokładnie, gruntownie wypowiedzieć — i zmierzyć.

W wyborach do poprzednich legislatur Dumy państwowej stawały przeciw sobie dwa prądy zasadnicze, zwalczające się wzajemnie we wszystkich zresztą krajach: prąd konserwatywny, reprezentowany w naszych warunkach przez ideologię narodowo-demokratyczną i prąd radykalny, przeważnie występujący w postaci raczej chaotycznej. Można było przypuszczać, że nie będzie inaczej i w wyborach minionych i — jak już to miałem sposobność obszernie referować na tem miejscu — pod podobnymi hasłami przygotowywano akcję wyborczą. Przebieg wyborów był jednak odmienny i główne starcia na innych tłach się odbywały.

* * *

Dwa główne momenty należy podkreślić w przebiegu wyborów warszawskich.

Pierwszym było utworzenie dyskretnie lewicowej koncentracji narodowej, jednoczącej żywioły radykalne z secesją demokracji narodowej przeciw polityce dawnego Koła i jej dyktatorowi Dmowskiemu.

Drugim był smutny tryumf nacjonalistów żydowskich, którzy nędzną swą taktyką na czas pewien zniweczyli plon pracy mrówczej kilku pokoleń, marzących o zjednoczeniu pod wspólnym sztandarem wszystkich obywateli Polski — bez różnicy pochodzenia i wyznania.

* * *

Powstanie koncentracji narodowej było koniecznością życiową. W „Przeglądzie Wileńskim“ ukazały się przed pół rokiem pierwsze słowa, wykazujące logiczny bieg wypadków ku utworzeniu podobnej organizacji, którą nazwaliśmy wówczas „blokiem opozycyjnym“, wzbudzając tem wielkie niezadowolenie organu p. Dmowskiego: „Opozycja? Przeciw komu?“ — pytała wówczas „Gazeta Warszawska“. „Przeciw endecji“ — odpowiedziała „Gazecie Warszawskiej“ Warszawa.

Idea koncentracji narodowej daleka była od zwrotu opinii publicznej w kierunku radykalizmu politycznego. Była ona zaledwie terenem wspólnym, na którym spotkać się mogli *w celu wspólnego działania* postępowcy i ci z narodowców — na szczęście większość! — którzy przejrżeli i uwolnili się z pod dyktatury nacjonalistyczno-ugodowej. Nie łudzono się, aby koncentracja mogła usunąć sprzeczności idejowe, tkwiące w społeczeństwie polskiem. Nie przesadzano treści organizacyjnej koncentracji. Przyjęto jednak koncentrację z entuzjazmem, widząc w niej zadatek na spokojną pracę twórczą — powtarzam — nie usuwając, ale tuszując sprzeczność tam, gdzie na sprzeczności niema miejsca w naszym anormalnem życiu politycznem i społecznem.

Koncentracja narodowa była konieczną, bo zwycięstwo jej, zwycięstwo na całej linii, było łatwe i rozstrzygające. Oprócz garstki wiernych przyjaciół p. Dmowskiego, cała Warszawa polska stanęła pod jej sztandarem i lekkim giestem powaliła p. Dmowskiego w pierwszej potyczce: w prawyborach.

Znalazł się jednak wróg inny, wróg niebezpieczny, a tym wrogiem okazał się nacjonalizm żydowski.

Wiadomo już czytelnikom „Przeglądu Wileńskiego“, jakich wypadków drogą żydzi znaleźli się w sytuacji posiadaczy większości głosów w prawyborach. Zdałem tu wówczas sprawę z *larum* narodowej demokracji i z istotnego stanu rzeczy, mniej groźnego, niż chciałyby taktyka narodowo-demokratyczna. Teraz, albo nigdy — zdawało się — kwestja żydowska podlegnie należytej ocenie i stanie na właściwej drodze.

Nacjonalizm żydowski, przeszczepiony z Rosji przez żydów rosyjskich na nasz grunt, który *tego* chociaż nacjonalizmu nigdy nie znał, oddawna kielkował skrycie pośród ciemnych i niestety bardzo bezkrytycznych mas żydowskich. Był on zjawiskiem naturalnem dla nacjonalistów naszych, był natomiast zjawiskiem bolesnem dla radykalizmu polskiego i dla ogółu uświadomionych żydów polskich, wychowanych w tradycjach zgodnego spółzycia, zacierającego powoli różnice pochodzenia. Radykalizm cierpiał, jak cierpieć musi, spotykając się z jakimkolwiek przejawem ciasnego i upartego nacjonalizmu, żydzi polscy cierpieli stokroć więcej, czując pod nogami minowanie terenu jedynego, na którym żyć mogą i żyć chcą.

Nacjonalisci żydowscy nie chcieli z rąk wypuścić okazji do zmanifestowania swych ambicji. Uzbrojeni w zacięłość i wytrwałość, doprawdy do pozazdroszczenia, operowali swym zwykłym arsenałem argumentów, zapożyczonych od syjonizmu i od bundyzmu. Kilkoletnia „władza“ narodowej demokracji i żydożerze artykuły prasy endeckiej dostarczały materiału poddostatkiem agitatorom rosyjsko-żydowskim. Przy wysuwaniu na miejsce tego materiału, łatwo było masom podlegającym agitacji zamknąć oko na zwrot, który jednocześnie dokonał się w opinii polskiej.

Agitatorzy, mogący działać otwarcie, bo działający przeciw interesom ogólnopolskim, trafiali do najwrażliwszych strun każdej masy, bo do ambicji. Wykazywali żydom możność zaprotestowania przeciw antysemityzmowi i ci z żydów, którzy dalej i głębiej w życie spojrzeć nie umieli, musieli dać się porwać na lep ambicji — już nie zbiorowej — ale czysto osobistej.

Działacze koncentracji, widząc złowrogą akcję agitatorów nacjonalistyczno-żydowskich, nie wzięli się w psychologję tłumy żydowskiego.

Mieliśmy mu pochlebiać? — pytała dzisiaj. Nie, nie, nie! Nie pochlebiać, ale przekonać.

W nieuniknionem przeświadczeniu, że „teraz, albo nigdy“, stanawszy już na gruncie równouprawnienia obywatelskiego i tolerancji demokratycznej, należało zrozumieć, że masy żydowskie, sugiestjonowane przez zręcznych i bezpośrednich magnetyzerów, znajdują się w rozterce, w rozterce najstraszliwszej dla nich, a niebezpiecznej dla wewnętrznego pokoju Polski. Podchwycenie momentu i dyplomatyczne wyciągnięcie ręki do mas, które na to wyciągnięcie ręki czekają tylko, byłoby krokiem błogosławionym i zniweczyłyby złowrogie podszechowanie nacjonalistów obu stron.

Koncentracja tego nie uczyniła. Taką była jej psychologja.

Kandydat koncentracji, p. Kucharzewski, stanął na gruncie pewnych ograniczeń dla żydów w samorządzie miejskim i do listy wyborców koncentracji nie dopuszczono ani jednego żyda.

Jeżeli próbowaliśmy psychologicznie wytłomaczyć, dlaczego żydzi warszawscy dali się wziąć na lep agitatorom nacjonalistycznym, czyż trzeba tłumaczyć podkład psychologiczny tego kroku koncentracji, która i dziś za błąd uznać go nie chce?

W każdym razie ten krok koncentracji ostatnich atutów pozbawił asymilatorów, mających wpływ na masy żydowskie i potężny argument włożył wspaniałomyślnie w ręce działaczy nacjonalistycznych.

Wbrew rozsądkowi, wbrew obowiązkowi, wbrew własnemu wreszcie interesowi, masy żydowskie usłuchały podżegań nacjonalizmu i wybrały 46-ju wyborców żydowsko-nacjonalistycznych do kolegium wyborczego, składającego się z 83-ch członków.

Ci z żydów, którzy wychowali się w tradycjach polskich, będą mieli wojnę. I wojnę wypowiedziały wszystkie niemal odłamy społeczeństwa: od skrajnej prawicy do radykałów zdeklarowanych. Hasła wojenne rozbrzmiewają wszędzie i bez przerwy. Terenem ich jest życie ekonomiczne. Przedmiotem ich są wszyscy żydzi, bez względu na to, czy byli inicjatorami bezmyślnego kroku, ciemnem jego narzędziem, stanowczymi oponentami, czy tylko ofiarami.

Postępowa „Prawda“ pisze:

„Na walkę społeczeństwo polskie odpowiedzieć musi walką, tego wymaga od nas instynkt samoobrony narodowej. Jednocześnie z nakazem walki ów instynkt określa zarazem i przepisuje jej formy, formy akcji nieubłaganej i wytrwałej, ale spokojnej i nadewszystko kulturalnej, bo tylko wytrwałość, powaga i kulturalność okażą się celowe, tylko one będą rękojmnią skuteczności.

Zaś hasłem tej walki, hasłem, które w duszy każdego obywatela ozwać się winno echem pobudki do czynu, będzie unarodowienie przemysłu i unarodowienie handlu krajowego, dwa czynniki

streszczające się w idei konsekwentnego, krok za krokiem, polszenia miast i miasteczek naszych, dziś przeważnie przez ludność żydowską zamieszkaną.

Między narodem polskim a nacjonalizmem żydowskim nie będzie odtąd miejsca na pośrednictwo, nie będzie miejsca na połowiczność, na pół-polaków i pół-żydów. Z jednej strony staną żydzi, z drugiej—bez różnicy rasy, wyznania, pochodzenia—staną polacy.

„Pośrednictwo i połowiczność”—to ta trudna, niewdzięczna praca, ciągnąca się od szeregu lat w imię miłości ojczyzny, „Pół-polacy, pół-żydzi”—to polacy, pochodzenia żydowskiego, którym pochodzenia zapomnieć *nie pozwolono*.

Organ koncentracji, „Kurjer Warszawski”, pisze:

„Chcemy walki! Tak mówią nam nietylko t. zw. litwacy. Tak mówią nam żydzi, co się zwie polscy, może potomkowie tych, którzy tu, u nas, znaleźli dach nad tułaczą głową przed setkami lat. Taki jest sens wyborów warszawskich“.

Upada zatem cała akcja asymilatorów, spotykająca się dotychczas z sympatją w obozach postępowych i umiarkowanych. Upada dobra wola obustronna, której działanie było powolne, ale mechaniczne i systematyczne, dlatego, że nędzna agitacja znanych elementów chwilowo zwyciężyła zwycięstwem pozornym raczej, niż istotnym.

Jakie stanowisko mają więc zając żydzi, wobec takiego obrotu rzeczy? Przyjąć wyzwanie, rzucone im ryczałtowo przez społeczeństwo i rzucić się do walki na śmierć lub życie, pod przewodnictwem „litwackich” prowodyrów? Organizować się ekonomicznie i społecznie, spełniając tem jedyne marzenie nacjonalizmu, chcącego w swej bezmyślnej i tępej arogancji urzeczywistnić w przyszłości ideał „polsko-żydowskiego kraju“?

Czy też zgodzić się na bierność pokutowanie za czyn nieopatrzny otumanionych czterdziestu sześciu i zgodzić się na śmierć cywilną i wegietowanie w nowoczesnym ghetto?

Spółczesność, rzucone w ślepy zamęt, nie chce w tej chwili szukać odpowiedzi na te pytania. W szale, któremu podobny znaleźć można tylko w najsmutniejszych kartach historii, usuwa możliwość logicznego wyjścia z sytuacji, zasłaniając oczy na inne zjawiska, stokroć ważniejsze w tej właśnie chwili. Argumentów logicznych nie dopuszczają do siebie, będąc tym „najgorszym z głuchych, który nie chce słyszeć“.

* * *

Wojna wiecznie trwać nie może, przy największej wytrzymałości, największej sile, największych środkach, ale ruina, rozgoryczenie i rozkład wnosi w organizm społeczny, niszczy i dezorganizuje. A nam siły trzeba, przytomności i bacznej, trzeźwej uwagi.

Kiedy pierwszy szal minie, dojrzy społeczeństwo nasze, że domniemany wróg polskości ma wspólnego z nią wroga, który jest jedyną przyczyną obecnego zamętu, a tym wrogiem jest *nacjonalizm*. Krótkie doświadczenie już nauczyło masę żydowską, dokąd nacjonalizm ją prowadzi i za pierwszym impulsem zrzuci z siebie tę zmore, która z uspienia chwilowego korzystając, na fatalne bezdroża ją wprowadziła. Głos za głosem dochodzi,

że żydzi warszawscy, nietylko ci, którzy dotychczas z nacjonalizmem „litwackim” walczyli, przejrżeli i pragną pokoju. Ten pokój nie powinien im być utrudniony.

Nacjonalizm polski jest pogrzebany wraz z ideologią dmowszczyzny. Czyż to jest moment odpowiedni, aby nacjonalizm żydowski—w karykaturalnej proporcji gorszy, bo obcy—miał tryumfować? A tryumfem jest dlań wojna, której chciał przeciw od chwili, kiedy się na ziemi naszej pojawił. Nacjonalizm żydowski wierzy w swoje siły, bo megalomanja cechuje każdy nacjonalizm, ale bierność ofiary tego nacjonalizmu i dotychczasowi jego oponenti z pośród żydów polskich nie chcą wojny, którą wywołał nieopatrzny krok zaślepionych czterdziestu sześciu.

Nieosiągalne, aby wojna wewnętrzna, która przybiera zastrasżające rozmiary, trwała nadal. Pośród chaosu i zamętu muszą rozleć się głosy rozważne i rozsądne i rozlegną się niezawodnie. Im wcześniej społeczeństwo nasze ich usłucha, tem lepiej.

Naród, który ma tylu wrogów, ilu my, nie powinien wmawiać wrogości tym, którzy są, mimo uludnych pozorów, od niej dalecy. Krzywda, wyrządzona społeczeństwu naszemu przez nacjonalizm żydowski nie jest nieuleczalna. Więcej, jest śmieszna w swej bezsilności. Nie należy zatem rozdymać jej do rozmiarów katastrofy narodowej. A jeżeli chodziło o ukaranie winnych, zostali już ukarani dostatecznie, bo od przegierza opinii nie uwolnią się, póki żyć będą.

Rozważne głosy chcą *o* pokoju i Warszawa rozważnych głosów usłucha.

P. M.

Konfederacja bałkańska.

Pali się na Bałkanach. Stare, popiołem nieziszczonych pragnień przysypane kratery wulkanów słowiańskich dymią nietylko, ale wyrzucają z siebie olbrzymie rozpalone kamienie i dymiącą lawę, która zalewa cały półwysep. Rozbrzmiewa na północy i na południu starodawne hasło walki z półksiężcem. Gotują się wielkiej wagi przeobrażenia. Trudno bowiem przypuścić, aby podstępnej Europie udało się zwycięskie wojska bułgarskie, serbskie, nawet czarnogórskie wygnać z dzielnic zajętych prawem zdobywczego oręża, aby przwrócić *status quo* tureckiego posiadania, tureckiego rozgardjasza i bezrządu, nadzwyczajnie dogodnego dla austriackiego pochodu handlowego ku Salonikom i Azji Mniejszej, dla wielkich niemieckich planów kolei bagdadzkiej. Któż przewidzieć może przyszłość najbliższych miesięcy? Dwa miesiące temu nikt, prócz dziennikarzy bałkańskich nie przewidział zwycięstwa słowian na Bałkanach. „Europa“ kłóciła się w gabinetach ministrów w Paryżu i w Londynie, dawała rady, pisała noty. Czyniła to nie bez uśmiechu, myśląc więcej o antagonizmie austro-rosyjskim, niż o bułgarach i serbach, których raczej za pionki tylko posłuszne w rękach reżyserów cudzoziemskich uważać przywykła. Nie zapomniano jeszcze, jak przed laty kilku dokonana została aneksja Bośni i Hercegowiny. I wtedy burzyli się serbowie, chwytały za broń, grozili, szli ku granicy. Wnet uspokoił się nikt im z pomocą nie przyszedł. Nie przyszli cudzoziemcy, opiekunowie, pełni sy-

renich zapewnień, obietnic, przyrzeczeń. Nie ruszyli się słowianie bałkańscy. Nie drgnął bułgarski świniopas, ani czarnogórski rozbójnik. I teraz dyplomaci europejscy z niejakim brakiem uwagi przyjmowali zapewnienia bałkańskich książąt o bliskiej godzinie wybuchu. Spoglądali wciąż tylko w stronę Austrii i Rosji. Spoglądali na ręce wiedeńskie i petersburskie, mniej się interesując seismografami, zwiastującymi nieuniknioną erupcję namiętności bałkańskich. Minęła chwila i Europa przerażona swoją bezczynnością o pozorach wielkich zabiegów—zaczyna rozmyślać o nowym układzie sił, o pomocy dla Turcji, o sposobach ukrócenia rosnącej potęgi bułgarów. Europa nie wierzyła, że konfederacja bałkańska, do niedawna niemożliwa, stała się faktem dokonanym.

Dawna to już myśl związania ogniw bałkańskich w jedną całość zaczepną i obronną. Jeszcze w XVI w. książę włoski Aleksander marzył o takim związku książąt słowiańskich na prawym brzegu Dunaju. Córki swoje powydawał za syna Stefana Duszana, Urosza, za cara bułgarskiego, Strażymira, za księcia macedońskiego, później króla serbskiego, Wukaszyna. Królestwo Stefana Duszana obejmowało w związku federalnym Serbję, Bułgarię, Bośnię, Hercegowinę, Sławonię, Macedonję, Chorwację. Duszani myślał o konfederacji bałkańskiej, związanej sojuszem z Wenecją, pod opieką papieża. Myśl pozostała marzeniem: zarówno Wenecja, jak Papież odrzucili tę myśl o szerokim gieście twórczym. Po śmierci Duszana związek książąt słowiańskich rozluźnił się. Próba zjednoczenia w obliczu niebezpieczeństwa muzułmańskiego zawiodła: nie wytrzymały próby ani związek, ani odporność słowian. Przyszło Kosowe Pole 1389 roku. Próbowano później tworzyć sojusze z książętami włoskimi. Nadaremnie. Niewola osłabiła też wolę do wiązania się w większą całość. W toku długich stuleci nie było już mowy o łącznej walce przeciwko muzułmańskim najeźdźcom. Gdy Grecja walczyła o niepodległość—księstwa słowiańskie milczały. Dopiero w toku XIX stulecia zaczęto się na Bałkanach zajmować bliżej kwestją konfederacji*).

W r. 1853 głosi hasło takiej konfederacji Mikołaj I, 1858 r. występują z tem pragnieniem rumuni, 1861 r.—grecy. Michał serbski w roku 1859 prowadzi w tym kierunku pertraktacje z Kosuth'em**).

Jeżeliby Turcja miała zniknąć z półwyspu bałkańskiego, zajmą go Austrija i Rosja. Trzeba, aby Serbja łącznie z Bułgarią, Czarnogórą, Bośnią—przybrała do pomocy Chorwację, Mołdawię i Wołoszczyznę, Węgry wreszcie i utworzyła konfederację naddunajską. Plan takiej konfederacji opracował minister serbski Gareszanicz (jeszcze w r. 1844). Około roku 1867 projekt zaczął przybierać realniejsze kształty. Porozumienie stanęło między Serbją a Bułgarią. Tak samo z Grecją (konwencja militarna 1868 r.). Belgrad, Cetynje, Ateny i Bukareszt porozumiały się. Jednak książę Michał zginął od wystrzału 10 czerwca 1868 r. Myśl, zdawało się, znajdująca się na drodze zupełnej realizacji, utknęła na długie lata. Teoretycznie zgadzało się na nią wielu, propagowali ją

literaci i uczeni. Nawoływał Mazzini (1871)—stawiając za przykład Zjednoczenie Włoch. Jednak państwka rozwijały się i im więcej konsolidowały się wewnętrznie, tem trudniej chciały się godzić na konfederację. Konfederacja wymagała ofiary, wychodziła z zasady równości silnych i słabych, podporządkowania też interesów swoich egoistyczno-narodowych pod jeden interes walki z Turcją. Turcja umiała wyzyskać te spółzawodnictwa i niechęci wzajemne. Austrija, wytrącona ze Związku niemieckiego w r. 1866, orjentowała się ku południowi, starając się od strony Południa odbić straty w powadze mocarstwowej, zadane od Północy. I ona pragnęła—nie bez rady Bismarcka—Związku państw bałkańskich, ale związanych z nią i zależnych, jako potulny i wygodny rynek do wyzbywania się towarów. Bałkan zaczął obawiać się wpływów niemieckich więcej jeszcze, niż zależności od turczyzna.

Myśl konfederacji drzemała w sercach poetów lat trzydzięści. Dopiero koło 1905 roku podjęta została na nowo przez mężów stanu.

Na początku 1897 r. nakreślono pierwszy projekt sojuszu serbsko-bułgarskiego. Dopiero 1905 roku stanął traktat celny pomiędzy temi państwami, traktat, który jednak pod wpływem presji ze strony austriackiej został poniechany. Rywalizacja, walka cicha i jawna, pod różnemi pozorami prowadzona, dzieliły wciąż to Serbję i Czarnogórę, to Bułgarię i Serbję, to znowu Serbję i Czarnogórę. Do dawnych powodów i przedmiotów sporu przybył jeden jeszcze: Macedonja. Zaludniona przez bułgarów i przez serbów, budziła apetyt zaborczy u jednych i u drugich. Serbja nie mogła przebaczyć Bułgari, że rości sobie pretensje do Macedonji. Pretensje wzajemne dzielić nie przestawały Rumunji i Grecji. Ustawa turecka z r. 1905 uznawała narodowość rumuńską w państwie tureckim. Grecja nie chciała się zgodzić na uznanie tej narodowości w Macedonji, przedtysiącletniemi dziejami utwierdzone. Tak niedawno jeszcze konfederacja bałkańska w świetle rzeczywistości zdawała się bańką mydlaną.

W r. 1908 Austro-Węgry dokonały aneksji Bośni i Hercegowiny i ten wypadek miał mieć dziejowe znaczenie dla rozwoju wypadków bałkańskich. W tym samym czasie ujawniła się zupełna anarchja w państwie otomańskim, wywołana zupełną niemożliwością czy nieumiejętnością stosowania konstytucji uchwalonej, ale wykonywanej z jednostronnem uwzględnieniem interesów tureckich na niekorzyść interesów narodowości nietureckich. Bałkańskie państwka poczuły zupełne swoje odosobnienie. Polityka serbska prowadzona pod kątem opieki rosyjskiej i w przekonaniu, że Rosja nie pozwoli zaanektować Bośni-Hercegowiny została przekreślona.

Turcja reform przyrzeczonych nie dawała, wydarte przy lada sposobności odbierała. I oto w ciągu roku 1909 zaczęto nanowo prowadzić negocjacje w kierunku federalistycznym.

W listopadzie 1909 król Bułgarii spotyka się z następcą tronu Serbji u podnóża Kopaoniku pod pozorem zbiorowego polowania. 26 tegoż miesiąca, składa wizytę oficjalną Piotrowi I w Belgradzie. Wizytom tym patronowała Rosja. Obaj monarchowie bałkańscy w ciągu lutego i marca następnego roku odbyli wycieczkę do Petersburga, ale jednocześnie i do Konstantynopola (21 marca) 3 kwietnia. Tu i tam zostali przyjęci z wyróżnieniem. Mówiono—o unji celnej, myśl szła dalej i jeszcze w roku 1905 poseł serbski w Paryżu mówił o ha-

*) p. doskonały artykuł w „Fortnightly Review“ 1909, Czerwiec 1042 nast., oraz książkę „Une confédération Orientale comme solution de la question d'Orient“ par un Latin (Paryż 1905).

**) p. Pamiętniki Kossutha (Souvenirs) ogłoszone w Paryżu 1880, str. 254 nast.

śle „Bałkany dla państw bałkańskich“. Mężowie stanu (Miłowanowicz) głosili, że życie na bałkanach poza granicami unji serbów i bułgarów staje się niemożliwością. I konieczność samoobrony przed okupacją austro-niemiecką handlową i terytorjalną, obawa stracenia Sandżaku tytułem dopełnienia do Bośni i Hercegowiny kazała godzić się nawet na sojusz celny z Turcją, zwrócony przeciwko wszystkim *kultutraeger'om* z Północy. Reformy tureckie okazały się, jednak, gruszkami na wierzbie. Komisje, powołane do ułożenia programu reformy nie dały wyniku. Wojna włosko-turecka, prościej zabór Trypolisu przez Włochy—odsonił słabość zupełną państwa otomańskiego, pozwolił wątpić o żelaznej wytrzymałości żołnierza tureckiego. Działy tu też antagonizmy austro-rosyjskie. Bułgaria ćwiczyła żołnierza, nabywała broń, armaty. Car Ferdynand zrozumiał, że jeżeli uda mu się dokonać federacji bułgarsko-serbskiej, Czarnogóra i Grecja z natury rzeczy przystaną do tej silnej podstawy, wiedząc, że na niej tylko zarobić będą mogły. Świat dyplomatyczny zajęty jest rozwiązywaniem konfliktu niemiecko-angielskiego, który przysłańia i oskrzydla wszystkie inne. Trójprzymierze stoi za Berlinem, trójporozumienie za Londynem. Wszystko jest związane, bojaźliwe, nieszczerze. Zanim tedy stanął pokój z Włochami w Ouchy, państwka i ich władcy porozumiewali się. Konfederacja Bałkańska stała się faktem dokonany i teraz na polach i w wąwozach Bałkanu składa dowody istnienia, w które żadna kancelarja dyplomatyczna wszytkowiedzącej Europy wierzyć nie chciała. W tej walce złoży egzamin trwałości, od tej walki bowiem zależy układ dalszych stosunków państwowych terytorjalnych, zwierzchniczych na Bałkanach. Przedewszystkiem zależą losy Macedonji.

Stanisław Posner.

Syndykalizm francuski.

(Ciąg dalszy).

Trudno twierdzić, że tylko te czynniki wywołały i przyspieszyły konieczną reformę. We Francji istniało bądź co bądź wszystkiego 68 syndykatów (84 roku), połączonych w dziesięć związków (Unions). Nie przedstawiały one licznie groźnej siły, z którą rząd musiałby się natychmiast rachować. Jednak dłuższe zwlekanie mogło przesunąć je z opozycji socjalistycznej, z którą kompromisy były częste, do szeregów anarchizmu, który zasadniczo musiał być nieprzejednanym. Oprócz tego rząd miał do zwalczania wiele innych trudności. Polityka kolonialna rozpoczęta na wielką skalę była niepopularna; pierwsze niepowodzenia zrażały społeczeństwo. Wielkie kłopoty pieniężne, jako ciągły skutek pięciu miliardów zapłaconych Niemcom, zmusiły do ustępstw kompanjom dróg żelaznych, bankom, finansistom i oddały im cichą władzę. Niezadowolenie, które wybuchło później pod formą bulanżyzmu, zaznaczało się już wyraźnie. Konserwatyści, rozwijając wzmocnioną agitację, zdobywali coraz więcej mandatów. Młoda republika nie okrzepła jeszcze, nie budziła dostatecznego zaufania i szacunku, pozostawiała wiele złudzeń, nadziei dla jej wrogów. Rząd więc potrzebował szerokiej podstawy dla swego autory-

tetu, musiał oprzeć się na powszechnem uznaniu, na najliczniejszych warstwach ludności. Tę niewątpliwą zasługę wniknięcia w położenie i wyboru najpewniejszej drogi ma ówczesny minister spraw wewnętrznych — Waldeck-Rousseau.

Był on, jak wszyscy wielcy politycy, dużym cynikiem. W pamiętnikach przyznaje się, że szukał środków obrony w organizacji „polityczno-kryminalnej“, zdolnej zamatować konserwatystów. W izbach zaś, przez cały 5-letni okres zmian i ewolucji nowej reformy prawa, drwił bezlitośnie z „niebezpieczeństwa antyspołecznego społecznych związków robotniczych“. Pomimo pewnego oporu i wahań, zdołał on jednych przekonać i zgrupować koło siebie większość, a innych względnie uspokoić. Socjaliści naturalnie widzieli w reformie olbrzymi krok naprzód i pomagali mu ze wszystkich sił, liberali nazwali to „kanalizacją socjalizmu“, a zachowawcy wreszcie pocieszyli się uwagą, że „będą znali adres wroga“. Yves Guyot w swojej *Morale* zachwala „organizację hurtowej sprzedaży pracy“, która ekonomicznie podniesie kraj. Denis Poulot, poważny i wpływowy przemysłowiec, dowodził, że syndykaty, rodząc dobrobyt, zabijają strejki. Durat zapewniał, że reforma powoła do życia przedewszystkiem związki drobnych właścicieli, fabrykantów, oberżystów, rolników, którzy będą najlepszą przeciwwagą dla „krzykaczów“. W ogólnych więc zarysach przy takim nastroju przechodzi przez obie izby i zostaje ogłoszone 21 marca 1884 roku prawo szerokiej swobody syndykatów.

Tekst jego jest dosyć długi: usuwa dawne dekrety i odpowiednie paragrafy kodeksu karnego, wyszczególnia zakres działania, objaśnia formę legalizacji i stosunek do władz. Dla nas jest ciekawą zasadnicza teza. „Syndykaty lub stowarzyszenia profesjonalne, złożone więcej niż z dwudziestu osób, poświęcone jednemu fachowi, jednemu rzemiosłu, lub pokrewnym (coanexes) zajęciom mogą być zakładane bez zezwolenia rządu“. Jako cel postawiono „badanie i obronę interesów ekonomicznych przemysłowych, handlowych i rolnych“. Jako jedyny warunek — zawiadomienie prefektury o charakterze, składzie i działalności syndykatu. Prawo to zostało zaopatrzone w cyrkularz ministra spraw wewnętrznych do prefektów, w którym wytłomaczono intencje rządu i poglądy ciał prawodawczych, przyczem komentarze są możliwie łagodne i przychylne. Tak np.: „pokrewne zajęcia“ ma być rozumiane do tego stopnia szoroko, że dozwolone jest organizować się robotnikom, zajętym wspólnie przy budowaniu portu, okrętu, domu i t. p. Prawo nie kryło w sobie żadnego dwuznacznika lub niedomówienia, lecz nadawało pełną wolność w nowym życiu dla syndykatów. Skorzystano z niej na razie tak, jak przewidywał prawodawca, a potem — jak nie sądzili nawet obdarzeni.

A więc pierwszym i natychmiastowym skutkiem była wzięczność i obniżenie nastroju rewolucyjnego robotników. Szereg następujących kolejno kongresów „prosi, życzy sobie, pragnie“. Dopiero po kilku latach będzie „chciał, wymagał, żądał“. Jednocześnie okazało się, że ogólne zadowolenie wcale nie jest dobrym agitatorom: syndykatów nowych organizuje się mało, przyrost członków jest niewielki. Przykładem wystarczającym będzie zaraz pierwszy kongres w Lugdunie z 86 roku t. j. w dwa lata po ogłoszeniu prawa. Zjechało się 109 delegatów. Budżet kongresu wynosił 10123 franków, z czego 5 tysięcy dał rząd, 4 ty-

siące rada municypalna, a reszta 1123 franków pochodziła ze sprzedaży broszurek, ze składek w dziennikach i pomiędzy robotnikami. Uchwalone zostają z ważniejszych następujące rezolucje. 1-o. Projekt federacji syndykatów robotniczych (jednomyślnie). 2-o. Zmiana (już) istniejącego prawa w przedziwnie krótkiej i naiwnej formie: „robotnikom wolno zakładać syndykaty, a syndykatom federować się“, (za 73, przeciw 29, obojętnych 7). 3-o. Ośmiogodzinny dzień pracy (za 84, przeciw 8, obojętnych 17). 4-o. Upaństwowienie narzędzi pracy i „każdy ma pracować według swych sił, a otrzymywać według swych potrzeb“ (prawie jednomyślnie). Dyskusja równie była płytka, jak lakonicznymi uchwały. Wszystkie te echa socjalizmu zostały przedstawione w formie życzeń. Kongres nie wiadomo czy był bardziej jałowy, czy spokojny. Śród przyjaciół nie wywołał żadnego wrazenia, zaciekawionych przeciwników uspokoił. Zapewne niesłusznie. Bo uwaga proletariatu była wtedy przyciągnięta przez nowy fakt, przez urodziny nowej formy ich przyszłej siły: powstaje pierwsza Giełda Pracy w Paryżu.

Właściwie projekt Giełdy Pracy został przedstawiony radzie miejskiej Paryża już dawniej, bo w roku 75, ale dla powodów nam znanych starano go się pogrzebać. Tę rolę spełniają wszędzie na świecie komisje. Komisja paryska potrafiła debatować lat jedenaście. Dopiero, kiedy zaczęto obawiać się polityki mas ludowych, kiedy robiono ustępstwa, kiedy reforma prawa usunęła wszelkie argumenty oporu, — wtedy dopiero rząd zdecydował się położyć „kamień węgielny dla gmachu prawdziwej pracy“. D. 5 listopada 86 r. wychodzi raport Mesureur'a, ogłaszający postanowienie rady miejskiej wraz z motywami konieczności tej fundacji. Już sama nazwa Giełdy Pracy mówi jasno, czem powinna zostać nowa instytucja. Bez niej, według słów raportu, „istnienie Izb syndykalnych będzie zawsze zawisłem od łaski, gdyż, nakładając dotkliwie ciężary na robotników, zrażają do siebie znaczną ich ilość. Trzeba więc, ażeby Izby posiadały lokal i biuro, gdzie każdy może przyjść bez obawy straty czasu i pieniędzy ponad siły. Wolny i stały dostęp do sal zebrań pozwoli pracownikom z większą dojrzałością i rozwagą dyskutować rozliczne kwestje, które interesują ich przemysł i wpływają na ich zarobek, rozszerzy i uporządkuje środki informacyjne, korespondencję, materiał statystyczny, bibliotekę ekonomiczną, przemysłową i handlową, rozwój produkcji w każdym fachu nie tylko we Francji, lecz i na całym świecie“. Tym razem więc kwestja była zakończoną. D. 3 lutego 87 roku rada miejska uroczyście oddaje w posiadanie syndykatów paryskich nieruchomość na ul. Rousseau dla pierwszej Giełdy Pracy, która później (92 r.) dostała wielki, wygodny gmach przy ul. Château-d'Eau. „Jesteście u siebie“, określił to Mesureur podczas solennego otwarcia. Czy mógł kto lepiej zrozumieć, niż robotnicy?

I zaraz zabrano się do prac. Oprócz zasadniczego działu poszukiwania zajęć dla robotników, Giełda posiadała bibliotekę, kursy zawodowe, konferencje ekonomiczne, techniczne i ogólnonaukowe, dział „gościnności czasowej“ dla przejezdnych członków i kasę, która, prawdę mówiąc, na razie więcej miała celów, niż pieniędzy. W każdym razie centralizacja oddała ogromne usługi. Od samego początku pozwoliła na usunięcie z syndykatów pokrewnych działów, które o ile były nieodzowne dla grup żyjących samotnie, o tyle

bez użytku przy wspólnym zarządzie. W przeciągu kilku lat dokonały giełdy tak poważnej pracy, o jakiej nie mogła marzyć Federacja syndykatów, istniejąca oddzielnie i zamulona mętami polityki. Niejako automatycznie musiała powstać wyższa forma w rozwoju giełd t. j. nieunikniona idea ich połączenia. Dla ścisłości musimy zaznaczyć, że pochodzenie jej było polityczne, a nie ekonomiczne. Ale to wymaga przedwstępnej uwagi.

Syndykalizm będzie teraz płynął dwoma łózkami. Oddzielne fakty porozwieszane na liczbach statystyki nie są już dostatecznym drogowskazem. Dotychczas mieliśmy do czynienia z silnym prądem, ale jeszcze młodym, bez liczących dopływów międzynarodowej polityki i ścisłymi ograniczeniami prawa. Nietrudno było orjentować się w kierunku i zwrotach. Płynął po spadku konieczności, żłobił z trudem własne koryto. Teraz wchodzimy w jakąś deltę wielkiej rzeki, w mnóstwo krzyżujących się strumieni i kanałów, dostrzegamy odległy horyzont morza ludzkości i grzęzkie błota skrytych instynktów. Równie częstą jest głębia socjologiczna, jak i mielizny życia. Potrzebna jest mapa. Potrzebny jest kompas. Tę usługę oddadzą nam komentarze, zaczerpnięte z dzieł takich ewangelistów syndykalizmu jak Sorel, Pellontier, Ponget, Griffuelhes, Delesalle i t. d.

A więc mniej więcej od roku 1890, kiedy we Francji działała prawidłowo 57 Giełd Pracy, a liczba zsyndykowanych pracowników dochodzi do miliona (dokładne tablice poniżej), syndykalizm nie była to tabula rasa, na której wypadki wypisują dowolne sentencje, lecz posiadał już własną indywidualność. Socjalizm nauczył go nienawiści obecnego ustroju, walczyć z rządem, przygotowywać zwycięstwo, socjalizm zorganizował go i wychował. Dlatego też ważniejsze zaburzenia, strejki, krwawe starcia rozsiane tu i owdzie w historii jego rozwoju, zarówno jak i ustępstwa czynione przez rząd są tłem, a bynajmniej nie przekształcającą siłą. Te czynniki nie odchyliły nigdy od nieprzejednanego kierunku, to są przyczynki a nie przyczyny jego historii. Ta kwestja jest rozstrzygniętą. Daleko bardziej zawila jest kwestja emancypacji syndykalizmu z pod wpływu socjalistycznego. Chociaż dzisiaj wyzwolenie można już nazwać również faktem dokonany i, zapewne, bezpowrotnym, — nie było tak w całym dwudziestoletnim okresie wzrostu i przemian. Na to będziemy musieli zwrócić specjalną uwagę. Powstaje na końcu różniczkowanie pojęć i wewnętrzne tarcie w samym syndykalizmie, jako takim. A nietylko będą ważne etapy jego organizowania się rozmaitych czy związków, czy giełd, czy federacji, czy wreszcie ogólnej konfederacji, lecz ustalanie programu, ideologii i działalności. Stanowisko rewolucyjne względem obecnego ustroju państwa, emancypacyjne względem socjalizmu, ewolucyjne względem samych siebie: oto trzy wymiary nowej bryły protestu.

Już na kongresie syndykatów w Bordeaux le Bouscat w 88 r. można dostrzec zarodki zbliżających się zmian. Cały arsenał broni socjalistycznego obozu zostaje mocno zdyskredytowany. Schyzma jest prawie pewną. Uchwała główna kończy się słowami „...tylko strejk powszechny t. j. zupełne przerwanie wszelkiej pracy lub rewolucja może posunąć robotników ku ich wyzwoleniu“. Otóż, jedynie te dwa słowa „lub rewolucja“ były wzięte ze składu wychowawców

socialistycznych. Prawda, że przez to wytworzyła się sprzeczność z pojęciem „tylko strejk“, ale, pomimo zaznaczonej kadencji na pierwszym miejscu, syndykaty nie posiadały jeszcze ani dostatecznej siły do samodzielności, ani odwagi do zerwania. Nie miały również mówców, teoretyków, kierowników, którzy zdołaliby obronić rację niezależności wobec wytrawnych wodzów socjalizmu, jak Lafargue, Guesde i podobni.

R. Dołęga.

(D. c. n.).

NAD SEKWANA.

(Korespondencja własna „Przeglądu Wileńskiego“)

Paryż, w listopadzie.

Wszystko możnaby zarzucić organizatorom salonu jesiennego prócz tego, iż nie idą śladem chwili bieżącej. Nietylko że idą, lecz idą do tego stopnia bezwzględnie, że sprowadzają na siebie gromy prasy, krytyków i publiczności.

Kampanję rozpoczął tym razem list otwarty p. Lampué, członka Rady municypalnej m. Paryża pod adresem ministra sztuk pięknych. Punktem wyjścia listu było oskarżenie, iż jury salonu przepuszcza tu dzieła, urągające wszelkiemu poczuciu piękna, ekstrawagancje, obniżające poziom sztuki francuskiej. List był jednocześnie wyzwaniem rzuconym cudzoziemcom, którzy jakoby narzucają Francji swe dzikie teorie i dziwactwa. Więc p. Lampué woła na alarm, wzywa, by czyszczono stajnie augjaszowe.

Salon jesienny, instytucja młoda, powstała dziesięć lat temu, ma właśnie już w założeniu swem wypełniać lukę, istniejącą między salonem oficjalnym artystów francuskich, a niezależnych, u których o przyjęciu dzieła stanowi jedynie zakupione miejsce. Założenie to odpowiadało potrzebie — wiadomą jest rzeczą, iż wszelki nowy kierunek spotykał się zawsze z opozycją zdewiniętej tradycji. Przyjąwszy ową misję opiekuńczą, salon musi iść zgodnie z nią, przyjmując i protegując nowe siły i kierunki i nie może tym samym negować, dajmy na to sztuki futurystów lub kubistów dlatego tylko, że sztuka ta spotyka się z niechęcią tłumów.

Inna rzecz, że tłumom tym przysługuje prawo reagowania na dany kierunek w ten lub inny sposób. I to jest jedyna droga, bowiem wrodzony zbiorowy instynkt — najskuteczniej obala mierzoty, adoptując wcześniej lub później to, co godne przyjęcia.

List p. Lampué uderzający w instytucję, był swego rodzaju nietaktem — że jednak to, co on wyraził w głośnym proteście — nie jeden śpiewa sobie w duszy — że sztuka ostatnich kierunków rodzi widoczną opozycję — więc — starajmy się zbliżyć do niej i poznać tego powody.

Mówiąc w ostatnim swym liście o teatrze, zwróciłam uwagę na ruch jakgdyby wahadłowy, według którego pierwiastek realistyczny i idealistyczny, pozytywizm i romantyzm zmieniają się wzajem. Równie jak literatura i teatr bieżącej chwili, znuzone mglistością mistycyzmu i symbolizmu, uchodzą odeń; toż samo obserwować możemy w sztukach plastycznych. Tak samo, jak po ekliwej epoce mdłych naśladowców Fragonarda

i Boucher przyszedł Dawid ze zwrotem do klasycyzmu i żądaniem pełnego rysunku (inna rzecz, że sposób ujęcia był tu fałszywy), tak też po rozwichrzonym impresjonizmie przyszła sztuka Cezanne'a i Gauguin'a, przekładając nad złudę światłocieni i efektów *plain'airu* — silną budowę kompozycji i rysunku, nad piękno barwnej plamy — silne ujęcie płaszczyzn, oraz syntezę i jedność linii. Stąd krok już tylko do przesładowanego i okrzyczanego kubizmu.

Kubiści — wychodząc z zasady, że wszystko trzeba traktować z równie bezwzględną sumiennością, nie dając przewagi jednym przedmiotom nad drugimi, wszystko raczej jako zetknięcie się płaszczyzn, które modelują się w przestrzeni w formach geometrycznych — kubiści właściwie tylko rozwijają i formułują zasadnicze cechy sztuki Cezanne'a i Gauguin'a, dążąc przez syntezę linii i kompozycji do możliwej prostoty. Dając sztuce walory trwałe, wejda oni do historii jej — mimo wszelkie opozycyjne głosy pp. Lampué et consortes.

Winą natomiast kubistów jest, iż przenoszą punkt ciężkości z koncepcji samej na jej wykonanie, nie zachowując nieodzownej równowagi między temi zasadniczymi punktami. Sposób techniczny, t. j. środek staje się wskutek tego u większości celem — stąd metodyczność i swego rodzaju dogmatyzm, zgubny zawsze dla sztuki. Wyradza to akademizm — choć w innej formie niż pseudoklasyzm dawnej epoki — niemniej jednak groźny jak tamten. Tu i tam poświęca się doktrynie ideje i treść, to, co daje bezpośrednio odczucie piękna.

Naturalnie nie mówię tu o wszystkich. Są tacy, którzy widzą szerzej, czują silniej, mimo metodykę — dają wizję świeżą i pełną. Takim jest Metzinger, Le Fauconnier, w części — Vera, Lhote, oraz pokrewny im duchowo Dunoyer de Segonzac.

Szanując zasadę swobody wypowiedzenia się, jako jedynej drogi rozwoju myśli twórczej — pragnę i sztukę futurystów traktować bez wszelkich uprzedzeń.

Wstrętnym jest wszelki szowinizm, wszelkie zamykanie się w określonych ramach, tarasowanie szczelne drzwi adorowanej przez się kapliczki. Na futurystów nie napadam. Nie napadając jednak, pozwolę sobie wyrazić osobisty swój pogląd. Czytałam niedawno wydany manifest Marinettiego (oficjalny obrońca futuryzmu, niby nowy Ruskin dla prerafaelitów). Autor manifestu każe nam oglądać idealne linje, idące ku nam od przedmiotów i przecinające je i przekonywa, iż jedynie godnym sztuki jest utrwalenie zapamiętanego *wrażenia* przedmiotu nie zaś jego obrazu, błyskawicowy moment, jaki nam po przejściu swem zostawiają osoby i rzeczy.

Tłumaczy on w ten sposób racje aperspektywiczne owych domów w pejzażach futurystów, lecających gdzieś w przestrzeń i t. p...

Czy kiedyś, z czasem, zmysły nasze rozwiną się dla przyjęcia podobnych wrażeń — nie wiem, dziś jednak — sztuka tego rodzaju jest nam obcą i nie ma gruntu pod nogami. Szybować wśród nie-realnych idei może tylko duch ludzki, oddawać je i przyjmować — jedynie taka sztuka abstrakcyjna jak muzyka, w części zaś — na tej samej zasadzie — architektura (poddając wrażenia). Natomiast nawet słowo pisane będzie niekompletnym, zbyt brutalnym znakiem, a cóż dopiero próba realizacji utrwalenia na płótnie wrażeń wzrokowych, choćby

przez niewiedzieć jakie gamy i fugi chromatyczne barw.

Nie jeden zapyta, dlaczego powstają podobne dziwactwa? Odpowiedzi szukaćby trzeba w części: w niesforności i niepokoju ducha ludzkiego — w części — w charakterze naszej małowórczej epoki. Brak wewnętrznej, samej przez się idącej podniety, oraz potrzeba wyodrębnienia się — skierowują częstokroć artystę ku szukaniu oryginalności, a nawet chorobliwej ekstrawagancji.

Inną cechą obecnej epoki — są uporczywe studia w muzeach. Może i tutaj przyczyna podobna — chęć zapłodnienia zamierającej twórczości gienjuszem wielkich epok. Niechęć przez to rzecz — by studia w muzeach były rzeczą niepotrzebną. Bynajmniej. Są one nieodzowne, uważne śledzenie nieprzerwanej nici wiecznego piękna, idącej przez wszystkie czasy wielkich epok — pogłębia niezmiernie. Lecz tu — warunek. Trzeba te rzeczy znać, śledzić, niewolno ich jednak niewolniczo naśladować, bowiem adoptowanie cudzej idei mści się; kto z niej czerpie niewolniczo, ten twórczość swą zabija, — gdyż to tylko, co samo z siebie wychodzi, ma istotną wartość.

Tymczasem w obecnej epoce jesteśmy świadkami ustawicznego wzorowania się. Dziś — sztuka egipska, jutro — asyryjska, tu — powrót do klasycyzmu, tam — ubieganie się za minjaturowym wdziękiem Tanagry, za wytwornym rysunkiem waz etruskich i greckich, bądź znów czerpanie z prymitywów, trecencistów, bizantyku; innych pociąga niespokojna linja sztuki meksykańskiej, tam bajkowość minjatur perskich lub subtelne wyrafinowanie induskiej prasztuki, nie mówiąc już o konturowości syntetycznych estampów japońskich i t. p.

Właściwie tu, czy tam, wszędzie, gdzie sztuka zdołała stworzyć piękną i silną epokę twórczą, jest wielkość linji, która zachwyca i uczy. Trzeba jednak szukając, stać na własnym gruncie.

Cezanne i Gauguin np., a z żyjących — Matisse, Van Dongen i Otton Fries — to jednostki silne, na których młodzi artyści mogliby się bądź co bądź oprzeć z warunkiem, by zechcieli wniknąć w istotę ich twórczości, a nie czepiali się owych kapliczek zewnętrznie i powierzchownie.

Niestety — częściej widzimy tylko naśladowców i dlatego sztuka nowa nuży, a zwiedzenie salonu przygnębia, miast budzić w nas uczucie piękna.

W. Kiślańska.

Slepy Orzeł.

Na skalistej przelęczy, ponury i gniewny,
Orzeł pióra nastroszył i zmrużył powieki...
Świt się palił na niebie różany, niepewny,
I spowitej w mgły ziemi stał uśmiech daleki...

Orzeł czekał na Słońce. On leciał tu co dnia,
Gnany dziką, bezbrzeżną, obłądną tęsknotą
Za jutrzemką promienną, wysnioną i złotą,
Co mu gasła w pomroce złej, czarnej jak zbrodnia!

Hej! on kochał to słońce do szatu! bez granic!
Ponad burz rozhukanych muzykę wichrową!

Ponad piorun skrzydlaty, nad krew purpurową,
Ponad turnie rodzone, nad złomy krzesanic!

Jemu śpiewał i wiedział, że ono go słucha!
Któż prócz słońca zrozumie, co orzeł — pan kracze?
W skał się zleby tuliło kóz plemię żebracze,
Gdy od szumu piór cisza wstrząsnęła się głucha!

Ale przyszedł dzień jeden, dzień straszny, jak zmory,
Kiedy słońce nie wstało... Ptak czekał zdumiony...
I zakrakał, aż głaźne zachwiały się trony!
Ciemno... Tęcze zczerniały... Zagasty kolory...

Dart szponami mech siwy i wołał i błagał!..
Aż się rzucił w otchłanie, w tę noc, oszalały,
Piers rozbił o zimną, milczącą pierś skały!..
Potem zadrzał, bo poznał, że z śmiercią się zmagał..

Oto ze dna, z otchłani, wstał lęk — przerażenie,
Szedł i lodem pościął krwi żywej strumienie...
Lęk, co kiedyś, o dawno, wysoko, na grani,
Wyjrzał z oczu przed panem chylącej się łani...

Rozpacz, rozpacz! Gdzie lot mój z wichrami
w zawody?
Gdzie mój szal rozhulanej, przepastnej swobody?
Gdzie mój sen, co rozpalał pioruny na niebie?
Cisza... Słychać jak wichry wołają na siebie...

Słońce! Słońce! twarz odkryj na chwilę jedyną!
Słyszę pieśni — hejnały, co Tobie w cześć płyną!
Czuję tutaj, na sercu promienie — Twe gońce!..
Słońce! Słońce! Miej litość! Ja kocham Cię! Słońce!

Cisza. — Jenó po gładach siklawy w dal huczą...
Jeno szelest chmur ciężkich, co kiedyś się włóczą...
Może która, szalona, śmie iść tu z pociechą?!
Ha, jak dziwnie, szyderczo, zaśmiało się echo!

Na skalistej przelęczy, spowity w mgły, chmury,
Co mu szponów sięgają... surowy, ponury —
Umęczony tęsknotą bez granic i końca,
Ślepy orzeł, król — nędzarz, darmo czeka słońca...

Wanda Niedziałkowska.

Z mego notatnika.

Terror moralny.

Książka nie daje rozgrzeszenia za czytanie „Głosu Wileńskiego“.

Fakt sprawdzony.

Dlaczego?

O to należałoby spytać spowiednika. Prawdopodobnie sam byłby w kłopotcie, gdyby zmuszony był na to pytanie odpowiedzieć publicznie.

W siedmiu numerach „Głosu Wileńskiego“, które wyszły, — najgorliwszy inkwizytor nie znajdzie niezego, co by obrażało uczucia katolickie,

co by zaczęło dogmaty lub obrzędy kościoła katolickiego. Rzecz prosta. Gazeta była wydawana przez Polski Komitet Demokratyczny w celach popierania kandydatury adw. Krzyżanowskiego i zwalczania ugodowo-endeckiej kandydatury ks. Maciejewicza. Była to więc akcja polityczna, w założeniu swem nie mająca nic wspólnego z kwestjami religijnymi.

Ale „Głos Wileński“ występował ostro przeciwko klerykalizmowi, przeciwko nadużywaniu ambony dla celów politycznych i przez to ściągnął na się gniew duchowieństwa.

Gniew zaś jest, jak wiadomo, złym doradcą. Szczególniej dla kapłana.

Jeżeli dewotka nie rozróżnia istoty wiary od sutanny — dziwić się temu nie można. Ale książd rozumie chyba doskonale, że nawet fanatyczny katolik może być przeciwnikiem kandydatury poselskiej ks. Maciejewicza.

Czy ma więc prawo moralne spowiednik odmawiać rozgrzeszenia za czytanie pisma jedynie na tej podstawie, że kierunek jego nie jest dlań sympatyczny? Czy nie jest to niegodziwem nadużywaniem konfesjonau, wyzyskiwaniem pobożności ludności wileńskiej dla utrwalenia wpływów stronnicych?

Laury ks. Łozińskiego nie dają spokoju naszym teokratom. Pragną go widocznie naśladować. Powinni jednak wiedzieć, że wyklęcie „zaraniarzy“ nie tylko nie zaszkodziło temu ruchowi ludowemu, ale przeciwnie wzmogło jego rozgłos i popularność. Surowemi zakazami i anatemami nie zatamować budzącego się krytycyzmu w masach. Represje moralne wywołują tylko rozjątrzenie i niechęć do bezwzględnych kontrolerów sumienia ludzkiego.

Nie o skutki praktyczne zresztą nam chodzi. O to powinni dbać obrońcy kościoła, bo kościół przedewszystkiem na takim postępowaniu swych sług wyjdzie najgorzej.

Nam chodziło jedynie o ujawnienie faktu powyższego, jako malującego oblicze właściwe kleru wileńskiego.

Jeszcze jeden przyczynek charakterystyczny — nie więcej.

„Wilno z przed stu lat.“

Jeżeli kto jest ciekaw, jak wyglądało Wilno przed stu laty, niech nabędzie album pod tytułem powyższym, wydane przez księgarnię J. Zawadzkiego.

Rzadko można się spotkać z wydawnictwem, tak wytwornem i artystycznym. Nie dziwota zresztą, skoro się zważy, iż nad szatą jego zewnętrzną czuwał Ferdynand Ruszczyk.

Okladka, winjety, układ, słowem to wszystko, co wyszło bezpośrednio od artysty stanowi niewątpliwie drogocenną oprawę albumu, złożonego z dwudziestu reprodukcji fotograficznych akwarrel Smuglewicza.

Oryginał albumu znajduje się w zbiorach Muzeum Narodowego w Krakowie. Dzięki zabiegom p. Wacława Gizbert-Studnickiego, archiwariusza m. Wilna, poczyniono zdjęcia z tego cennego zabytku i w następstwie powstało dzieło, o którym mowa.

Przesuwają się więc przed naszymi oczami fragmenty starego Wilna, dawne mury i baszty, których smutne resztki można dziś jeszcze oglądać, pałace, kościoły, malownicze okolice.

Ścisłe naukowy komentarz do tych widoków czasów minionych ułożył p. Studnicki, zużytkowawszy doń cenny materiał, jaki stanowi praca prof. Homolickiego z r. 1842.

Portret Smuglewicza, jego charakterystyka pióra p. St. Peszki, znawcy dziejów malarstwa polskiego, wreszcie komentarz graficzny, z oznaczeniem na planie Wilna położenia murów wileńskich i bram przed ich zburzeniem — uzupełniają album, nadając mu cechy dzieła trwałego i wyczerpującego.

Iniejatorem i wykonawcom tego wydawnictwa należy się szczerza wdzięczność nie tylko ze strony miłośników starożytności. Cały ogół wykształcony może być dumny z dokumentu, świadczącego chlubnie o jego poziomie kulturalnym.

Oczywiście, pod warunkiem, że potrafi ocenić wysiłki wydawców i zapewni im powodzenie materialne.

Zważywszy, że album zostało odbite w ilości 500 egzemplarzy numerowanych, oraz że cena jego jest nader umiarkowana (3 rb.) — należy się spodziewać, że cały nakład się rozejdzie niebawem.

Zachęci to niewątpliwie wydawców do wzmożonej działalności w tym kierunku.

Licz.

TEATR ZIMOWY.

Powodzenie bieżącego sezonu teatralnego zdaje mi się być utrwalone. Pewne obawy, któreśmy mieli z początku, a których nie wypowiadaliśmy ze względu na iście sarnią płochliwość naszej opinii — znikają wobec coraz pełniejszej widowni i rosnącego zainteresowania się grą artystów i sprawami teatru, jakie da się zauważyć w mieście.

Zasługa to z jednej strony dyrekcji, pracującej energicznie nad repertuarem i reżyserją poszczególnych sztuk, z drugiej zaś — publiczności, która coraz tłumniej odwiedza gmach po-cyrkowy. Owacyjne przyjęcie, jakiego doznały (zupełnie zasłużenie) ostatnio wystawione rzeczy, nieprzeciętnie dobra gra artystów, obecność w teatrze coraz szerszych warstw doniedawna szczupłej liczebnie inteligencji wileńskiej — wszystko sprzyja sprawie popularyzacji naszej sztuki dramatycznej. Zarówno, jak sukces sezonu, wzrasta i powodzenie poszczególnych premier. Kulminacją była dotychczas „Warszawianka“. Podobnie i tydzień ostatni miał swe kulminacje. Lecz zanim przejdziemy do „Otella“, „Gry serc“, i ostatnio granej, zawsze doskonałej arcykomedji Fredry „Damy i Huzary“ — poświęcimy słów kilka premierze, o której nie mogliśmy napisać w swoim czasie.

Wystawiono „Samsona i Dalilę“ S. Langego z p. Czarnowskim w roli głównej.

Dobra i poważna gra młodego artysty tryumfowała wszędzie, gdzie autorowi brakło istotnej głębi, ustępującej miejsca efektowi sceny. W obsadzie głównych ról „tragifarsy“, stanowczo lepszej w momentach komedjowych, niż tragicznych, wymienię p. Bilińską, p.p. Szarkowskiego, Skapkiego, (dobrego w typie, lubo zbyt monotonicznie „robiącego“ jednego z notorycznie znanych w Warszawie dyrektorów teatralnych) — i Bielicza, mło-

dego aktora, który z dużą dozą humoru i doskonałej obserwacji zagrał... młodego aktora.

„Otello“ nie zrobił kasy.

Zachwyca się wprawdzie szersza publiczność Szekspirem, przyznaje mu prawo do nieśmiertelności i chętnie na takową wystawia platoniczny patent; woli jednak oglądać go rzadko, natomast wybiera współczesność. Dziwić się temu trudno, choćby dlatego, że fabułę sztuk Szekspira zna prawie każdy przeciętnie czytany człowiek, więc np. „Otella“ zna jeśli nie ze sceny, to go ogląda oczami tradycji, wydaniem książkowym, wreszcie echem wielkiej gry aktorskiej. Ta jedna pozostaje dla szerszej publiczności, jako główna atrakcja. Wielką też grą może pociągnąć jedynie wielbiciel Szekspira, który, jak to zauważyłem niejednokrotnie, kochają go w książce, lecz unikają na scenie.

Było tak i u nas.

Boć nie wystawę, nie zespół tym razem — przeciętny — nie popis ogólny techniki.

Tylko Knake-Zawadzki, Otello. Był czułym, wspaniałym, groźnym, strasznym naprzemian; imponował wielkością giestu, postawą, głosem, całą gamą środków wielkiej rutyny i wielkiego talentu.

Jakże bładą, nikłą Desdemoną była p. Mostowska!

Wobec kolorowego, plastycznego Ottela ginęła w perspektywie; w promieniu głosu Knake Zawadzkiego — głosu, który ma w sobie spiż i miętki aksamit — spawiała wrażenie ujemne, recytując rolę bezdźwięcznie, bez liryzmu i bez szczerości.

Wyróżniali się w zespole: pani Podgórska (Emilja) i Cornobis (Jago).

* * *

Tajemnica artystycznego wieczoru teatralnego budzi trojakie echa: potraça dusze twórcy, aktora i widza. Pierwsza z natury rzeczy objawia nam się zawsze — w większym, lub mniejszym stopniu, szczerze, czy fałszywie — to rzecz inna. Duszę odwórcy — aktora widzujemy rzadziej. Ginie często za ścianą szablonu teatralnego. Najrzadziej widzujemy nasze własne dusze — my, widzowie, siedzący w krzesłach, łóżach i fotelach... Najrzadziej bo często się zdarza, że nie dano nam uczyć szczerości i mocy, że nie dano poczuć piękna i największej rozkoszy jaką może dać teatr, — rozkoszy *spółtworzenia*.

Do wyjątkowych tedy wypadków, pozostających trwałe w pamięci, należą wieczory, gdy wszystkie te struny dźwięczą jednocześnie, jak gdyby głosy trzech obcych dusz zabrzmiały spółem.

Są to wieczory harmonijne i estetyczne. Dokonywa się wówczas nieraz przewartościowanie zasług. „Gra“, ta dziwna sprawa chwili, czar złudzenia, owianego technieniem talentu, staje obok myśli autora, jako siła równorzędna; gdy zaś gra artysty wystrzeli tak wysoko, zabrzmi, tak mocno, że potrafi porwać nas silniej, niż wszystkie obiektywne walory dramatu — mimo, że na nim się opiera i w nim zamyka — wypadnie ją uczyć przede wszystkim, postawić na miejscu zaszczytnem — choćby dlatego, że autorowi pisanego słowa danem jest trwanie, świadectwo realne i głębokie — zaś życie kreacji, to moment tak krótki, tak zawodny, że nic go utrwalić nie zdoła krom chyba wdzięcznej ludzkiej pamięci.

— Boć nie wzruszenie przelotne?

O takiej chwili chcę pisać, taki irrealny zgoła, bo praktycznie niewypłacalny dług chcę tu przypomnieć:

Należy się on p. Arkawinównie. P. Arkawinówna obudziła najszczerzy zachwyt w „Grzesie“. Nie wiem, czy to był wyjątkowy wybuch jej wielkiego talentu; nie wiem, czy kiedykolwiek zagra tak samo.

Tak samo? Chyba niemożliwe. I dlatego chcę jej podziękować w imieniu swoim i wszystkich, dnia tego obecnych w teatrze: za to, co nam dała.

A dała nam zapomnienie, że patrzymy na scenę, zapomnienie, że oglądamy „sztukę“, zapomnienie wreszcie, że słyszymy cudze słowa, które z roli mówić wypadało.

P. Arkawinówna dała nam *grę serca*, tak prawdziwą, tak piękną w swej prostocie, że nie widzę potrzeby ochładzania jednym choćby zastrzeżeniem wzbudzonego przez nią na widowni uczucia.

Na imię mu: entuzjazm.

Sztuka Kiedrzyńskiego posiada mnóstwo błędów obok niezaprzeczonych dowodów talentu, i to talentu silnego i żywego.

Rażą — zaznaczą na wstępie — całe fragmenty, w których widzę specyficzną fakturę rosyjską, nawet „principjalnych“ frazesów, brzmiących u nas dziwnie obco.

Razi np. taka postać Morskiego, z którą się porała zawzięcie p. Czarnowski. Utalentowany ten aktor, nie mógł jednak nic poradzić autorowi, który mu kazał gadać uparcie, wychodzić i wchodzić coraz to przez inne drzwi, płatać się po scenie i za sceną, wreszcie brzdąkać na gitarze (Oh, ta gitara!)

Rozumiemy, zdaje się, Kiedrzyńskiego, pojmujemy, co chciał wyrazić w postaci Morskiego, przeciwstawiając idealizm jego i szlachetność prawie melodramatyczną zimnemu racjonalizmowi Radwana. POCO jednak szlachetny (soit) życiowy bankrut Morski tuła się bezdomnie między kulami i dlatego to tułanie się właśnie ma wytworzyć Stimmung — nie rozumiemy. Jeśli to ma być między innymi nastrój, to jest całkiem chybiony.

Do chybionych również pomysłów autora zaliczę sytuację, gdy spokojny, wstrzeźliwy w ekspansji, zimny europejczyk — Radwan — ucina sobie ot, taką paroarkuszową rozmówkę o czym? o życiu, o sile, o czynie i t. d. — i to z kim? Z Morskim. Jak? W kapeluszu i paltocie, natychmiast po przybyciu do domu Orczyńskich.

Do podobnie nieudanych pomysłów dodam pasowanie syna podupadłego szlachcica na... telegrafistę.

Ze sztuki dowiadujemy się, że stary Orczyński ma koło czterdziestu tysięcy — jak na głuchy partykularz, nie tak znów mało. Nie rozumiemy, czemu Orczyński junior, rastaquouère i karierowicz, obrwał sobie tę właśnie specjalność, mało popularną nawet w stosunkach małomiasteczkowych.

Pominę szereg niekonsekwencji w poszczególnych rolach i budowie sztuki. Rzecz jest napisaną mimo wszystko wysoce scenicznie; u młodziutkiego autora świadczy to niewątpliwie o talentie.

Niektóre zaś momenty, zwłaszcza rozwój i nateżenie scen miłosnych — liryczne duo Ireny i Romana — są pisane ze szczerem, pięknym ogniem prawdziwego uczucia.

W niełatwej swej roli p. Węgierko (Romek) ujmował zapałem i młodością. W trudnych scenach z Ireną (p. Arkawin) nie miał ani jednego fałszywego akcentu. Jego „dziewiczość“ płynąca z roli nie kolidowała bynajmniej z dziewiczością sceniczną: owszem, oczywisty brak rutyny aktorskiej dodawał tu specjalnego wdzięku sympatycznemu artyście.

P. Klimontowicz stworzył typ silny i doskonale pojęty. P. Pawłowski (syn)—podbijał, jak zawsze, śmiałością i pewnością gry, lubo w pewnym stopniu pogłębia nieco błędny rysunek autora: dał mianowicie na wstępie tak charakterystyczny, ale sympatyczny typ andrusa, że wydobyć z niego pod koniec zimnego *rastaquouère* — nie potrafił. Stąd pozostaliśmy ostatecznie w niepełności:

— Orczyński junior — kto zacz?

Panie: Dąbrowska, Śniatyńska, Czaplicka, Żółkowska,—panowie: Kiernicki (Orczyński ojciec) Rolicz, Bielicz (szczerze komiczny), Zabielski—wywiązali się dobrze z zadania.

* * *

Premjera komedji Fredry „Damy i Huzary“ dana w niedzielę, 4 listopada, była wielkim sukcesem artystów i dyrekcji. Poza epilogiem pióra p. Skąpskiego—skreślonym literacko dobrze, lecz stylowo nie wiążącym się z nastrojem sztuki—nie widziałem usterki ani jednej. Grano doskonale.

Cały zespół z przewybornym majorem, p. Knake-Zawadzkiem, na czele, był bez zarzutu.

Panie: Wrześniowska, Miller, Sachnowska (zwłaszcza ta ostatnia) były stylowe i karykaturalne bez szarży (siostry majora); miłą Zosią była p. Wojciechowska; doskonałe trio subrotek tworzyły panie Czechowska, Galińska i Rajska.

Towarzysze broni majora — pp. Norski i Borowski—mieli momenty doskonałe; suto oklaskiwano p. Jerzyńskiego, przewybornego w roli kapelana. Wreszcie stare huzary — pp. Szarkowski i Sarnowski—tworzyli dobrą parę służbistych ordynansów.

Złoty humor Fredry porwał nas i rozweselił. Wychodziliśmy z teatru z uśmiechem i uznaniem dla naszej drużyny artystycznej.

Sezon w pełni.

Zdzisław Kleszczyński.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Henryk Bergson. *Ewolucja twórcza*. Str. 305 w 8-cc. Warszawa 1913 r. tłomaczył dr. Florjan Znaniecki. Nakładem „Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich“. Skład główny u Gebethnera i Wolffa.

Już od lat kilku inteligencja całej Europy zwraca uwagę na filozoficzną twórczość Henryka Bergsona. Pierwszym pionierem kultu dla niego był u nas Stanisław Brzozowski. W całym szeregu płomiennych artykułów cytował on nazwisko Bergsona, jako przełomowy punkt w rozmyślaniach nad problemami poznania ludzkiego. Dzięki też jego artykule ukazał się szereg rozprawek, które omawiały z różnych stanowisk twórczość Bergsona. Pierwszą pracą na szerszą skalę była rozprawa dr. Biegeleisena, później pisali u nas o Bergsonie Dawid, Heryng, Grużewski, Sobeski, Leśmian, Rzymowski i Kurcusz. Zjawyły się też przekłady jego drobniejszych prac, a mianowicie: „Wstęp do metafizyki“ przełożył Kazimierz Błeszynski. Pod-

stawowa jednak praca „Ewolucja twórcza“ nie znajdowała takiego wydawcy, któryby chciał „ryzykować“ fundusz na wydanie książki filozoficznej. Wiadomo jest bowiem, że u nas książek z zasady się nie kupuje. A jeszcze, gdy chodzi o rzeczy poświęcone filozofji.

Brak przekładu odczuwano powszechnie, ale nikt nie kwapił się, by przyswoić naszej literaturze dzieło, które cytowano, omawiano, dyskutowano. I dopiero trzeba było inicjatywy Jana Lorentowicza, by Towarzystwo literatów i dziennikarzy wzięło na siebie koszty wydawnictwa. Tłomacz też się znalazł, gdy znalazły się fundusze. Zaszczycenie znany ze swoich studjów filozoficznych dr. Florjan Znaniecki przełożył dzieło Bergsona, spełnił tym czyn bardzo pożyteczny, gdyż uprzyściplenił dla wielu tajemnicę tego uroku, jakim otoczone jest imię autora „Ewolucji twórczej“. Przekład jest wierny i nie uchybia nigdzie wzorowej polszczyźnie, co trzeba dodać jest u nas rzadkością. Zresztą nic w tym dziwnego: wszak „Towarzystwo literatów i dziennikarzy“ położyło swoje żyro pod przekładem dr. Znanieckiego.

Za inicjatywę przekładu należy się wdzięczność Lorentowiczowi, za wydawnictwo zaś „Towarzystwu literatów i dziennikarzy“. Polska czytająca publiczność dzięki przekładowi książki Bergsona może się bezpośrednio informować u źródła tak co do zachwyków, jak i sądów ujemnych. Wielu jest bowiem takich, którzy uważają rozmyślanie Bergsona za poetyckie koncepcje i odmawiają im miana naukowości. Wielu jest też natomiast, którzy uważają irracjonalny system myślenia za wyzwolenie z pęt materializmu filozoficznego, za zwycięską reakcję przeciw uroszczeniom czystego intelektualizmu, sensualizmu oraz darwinizmu.

Bergson podkopuje fundamenty mechanistycznego poglądu na świat zwalczaniem biologicznych teorii, które stawiają tezę samego doboru wraz z walką o byt, jako jedyne czynniki rozwoju. Twierdzi on, że woluntarystyczny pierwiastek odgrywa rolę w kształtowaniu się organizmów. Nazywa go on „elan de vie“. Stosuje później na wszystkie dziedziny poznania tę samą kategorię „elan de vie“ i uważa nawet, że wiedza metafizyczna jest możliwa do opanowania przez człowieka.

Kto ciekaw całego splotu idejologii Bergsona, kto ciekaw jest jego koncepcji filozoficznych — niech przeczyta sobie „Ewolucję twórczą“. Znajdzie w niej całkowity obraz jego rozmyślań. Najciekawsze stronicie książki—to krytyka systemów filozoficznych, które panowały w nauce do Bergsona. Już dla tych stronic warto zapoznać się z książką. Mam nadzieję, że spotka się ona z uznaniem. Odczuwaliśmy wszyscy brak przekładu, gdy zjawił się, niech nie wyleguje więc na pułkach księgarskich bezczynnie. Warto jest bowiem, by niektóre idee, stały się dobytkiem szerokich warstw myślącej publiczności. Rzadko zdarza się przecież książka, która myślowo z bogacić może ogół.

Eustachy Czekalski.

Witold Bunikiewicz. „Złote czasy“—komedja w 3-ach aktach MCMXII. Wende i Sp. Warszawa, Karol Juffy, Lwów.

Nareszcie na naszym niebie literackim, stałe brzemieniem w gradowe chmury smutku, w pioruny przekleństw, w ulewy jęków, w śniegi narzekania i utyskiwań, w przymrozki gorzkich szy-

derstw, w odwilże cierpkiej ironji — zaszła wiosenna zmiana. Może na jeden dzień, może na godzinę, a może na krócej jeszcze? Nie badajmy na jak długo, stwierdzmy przecież z przyjemnością, że wyczekiwany błękit przecież się pokazał, i że pokazał się nagle w całym uroku pogody.

Tę zmianę sprawiła nieduża książeczka nieznanego autora, wydana ze smakiem przez Karola Juffy, a nosząca nazwę „Złote czasy“.

„Złote czasy“ Witolda Bunikiewicza, to komedja quasi-historeczna. Została napisana wierszem; wierszem świętym, wykwiutnym. Czyta się „Złote czasy“ jednym tchem od początku do końca i mimo woli z czytania cichego przechodzi się do czytania głośnego.

W pięciowrotkowym prologu autor chwytając poetyczną dłonią słotną zasłonę chmur naszej duszy i silnym szarpnięciem rozdziera ponurość.

Podnieście czoła! Niech radość przeziera przez serca oschłe
w rozpacz i grozieli
Niegodzien bowiem nazwy bohatera ten, który smutek
rozsiewa w obozie!

Akt pierwszy od początku dzwoni figlarną sielankową nutą. Śród szelestu i kolorowych migotań kostjumów polskich i francuskich wieku oświecenia poznajemy komedjowych bohaterów „Złotych czasów“ i wtajemniczamy się w ich ważne sprawy. Atmosferę przenika subtelną woń zmysłowości, niewidzialnymi skrzydły powietrze wachluje lubieżność, miłość młodzieńcza krzyżuje się z zachcieniem starszej namiętności, westchnienia i wzdychy unoszą się nad sceną, jak ciche opary i zmiernają wdzięcznie, lekko, poetycznie, do pogodnej nocy księżycowej w drugim akcie.

Ten akt drugi jest przesłaniczny. Szmerze fontanna Apolina, szepcą altanowe liście, księżyc przesyła ciemności nocy lipcowej jasno-zielonym spojrzeniem. Snują się po ogrodzie białe cienie kobiet, pragnących uścisku, za ich tropem ciągną ciemniejsze sylwety mężczyzn. „W nikłym szalu i tiulem leciuchnym odziana, isć kochanka powinna w park, na ciemne noce i kierować się chybką w drzew bujne gromady, w krzaków gęste zarośla, gdzie nawet i cienie nie zajrzą i księżyc nie wpadnie sierp bładny... Lecz wprzód przyściąg musi grobowe milczenie“. Tak uczy w pierwszym akcie kasztelanową-Telimenę przewrotny Markiz francuski. A oto pod szmaragdowymi w kąpielu miesięcznej konarami drzew „damy usiadają w malowniczych grupach, tak jakby zeszły ze sztychów Chodowieckiego“ i rozważają sprawy alkwiane jajo w jajo podobne do tych zagadnień, które pochłaniały autora „Egaremens du Coeur et de l'Esprit“, słynnego Crebillon'a fils'a, oczekującego — że zaznaczymy w nawiasie — przekładu na polski język „Sofy“ od wybornego tłumacza „Liaisons dangereuses“, Boy'a.

Pośród jasnej nocy nieruchome drzewa zdają się przybierać kształty fantastycznie wielkich Phallusów, o które się chętnie ocierają błądzące po parku, zanim na naradę usiądą niewiasty. A potem znów idą pomiędzy żywiczne pnie i odmawiają ciężką wdechami modlitwę do wszelkich słodczy patrona, do Harfilona świętego, poczem „spływa z niebiosów łaska niesłychana... Czasem paż malowany, czasem rycerz z baśni załopoce skrzydłami. Do białego rana, zawsze zajdą w kryjówce kochankowie jaśni; gdy uroczą Klodylda na wersalskim dworze świętego Harfilona wzywała pomocy, próżno trapiąc swe wdzięki w miłosnym

wyborze, dwóch kochanków dostała pośród jednej nocy!“ Słychać szepty: „Zwabiony twoich wdzięków sławioną przynęta, zapraszam między limby“... „Dziś jestem zajęta!“... Rotmistrz szuka Rozaliny, Doryda Markiza, jastrzębim wzrokiem wojewodzie czyha na pachnącą Filis... cichy, ale gwałtowny ruch panuje w parku. W ten wir dostał się pan kasztelan, mąż wielce uczony, biegły w astrologji. Wyszedł na połów gwiazd, a oto ma schwycić na niewierności żonę. On, który wygodnie przestaje z myślą Paracelsa, Porfira, Mirandoli, Skribona, Agrypy, on, który nie potrzebuje opisywać swych odkryć, bo mu jako szlachcicowi, uwierzą na słowo, on jest tej północy przywieziony do mistycznego zdumienia, gdy co chwila kobietka, dreszczem zmysłowym wstrząśnięta, wypłynie z za krzewu z mrużeniem litanji pokornej do przenajświętszego Harfilona. „Słodkie nadzieje zbudziłeś w mem łonie, o Harfilonie!“

Kasztelan: Co się tu dzieje?

Markiz: Farmazońskie sztuki!

Kasztelan: Nic nie rozumiem — znajome mi twarze — (woła) Mości Markizie!

Markiz: Pst...

Kasztelan: ...w imię nauki, łeb utnę szablą djabelskiej poczwary.

Markiz: Znowu duch nowy gusła rozpoczyna.

Kasztelan: Zdrowaśkę mówię: W imię Ojca... Syna...

Dama: O Harfilonie, ogrodniku boski etc...

W akcie trzecim gniewy Dorydy Kasztelanowej wskutek zawodów ostatniej nocy. Rotmistrz uwozi Rozalinę, w której się kochał Markiz czuły i na posag, ważne odkrycia alchemicznej natury pana kasztelana, przyznającego się zresztą:

Jednego nie zbadalem, jedno licho ważę,
Dlaczego miłość rozgrywa się w parze?

Wojewodzie jest bliski posiadania Filis, scena małżeńska między kasztelaństwem i wreszcie arcydowcipny finał, zalecanki pana kasztelana z gitarą i śpiewem do własnej pani żony.

Tutaj dopiero, gdy go podnieta zdjęła erotyczna, woła uczony kasztelan, mądry jak Agrypa: Nieśmiertelność czuje! A gdy kurtyna spadnie ostatecznie, wiemy niezawodnie, że wszyscy bohaterowie tej lekkiej, jak zefir, komedji, pójdą do łóżnic, w których dla jednej osoby zanadto obszernie, ale dla dwojga w sam raz.

Blahej intrygi „Złotych czasów“ nie opowiadam; ledwie ją zaznaczyłem, aby tylko wskazać, jak jest podobna w tonacji i akwarelowej barwie do lejtmotiwów gawotów, menuetów i padwanów; że dzwoni w niej tętno madrygałów; że się narodziła z owej pastoreli, którą dekapitowano jeszcze przed straceniem Ludwika Capeta.

Młody poeta polski umiał pochwytać wdzięk błahości, ową dworską przeminionych czasów, która z wykwiutnej Francji tak łatwo się przeniosła w zamożniejsze sfery Polski, ową galanterję, której najźródłowszym dziejopisem jest Brantôme, a zaś ostatnim Uzanne; ów czar troski jedynie o przyjemność; ową ciepłą istotę miłości i namiętności; ową sielankowość z pieprzykiem rozpusty; ową pieściotliwą miękkość kotki, ocierającej się o rozstawione nóżki pani z obrazu Garnereta, gdy ta pani siedzi w bogatym fotelu i pochłania skwapliwie romans, może „Angolę“ Jacques de la Morliere'a.

Są też w „Złotych czasach“ momenty praw-

dziwie liryczne, w ustach dobrego aktora porywająco piękne, jak np. monolog - wyznanie Rotmistrza z końca pierwszego aktu.

„Złote czasy“ to utwór dużego talentu i niepospolitej kultury. Może młody autor w motywach przez się powziętych nie doszedł w ich rozwinięciu do cis, w każdym jednak razie jego komedia stoi wysoko w hierarchji literackiej utworów ostatnich lat. „Złote czasy“ są dziełem pierwszorzędno poety i utalentowanego, chociaż nie-doświadczonego dramato-pisarza.

Wystawienie „Złoty czasów“ w teatrze powinno być sprawą najbliższej przyszłości i ambicją kulturalnych reżyserów.

W. Grubiński.

PRASA ROLSKA.

— „Kultura Polska“, redagowana przez A. Świętochowskiego daje zwięzłą charakterystykę minionych wyborów warszawskich.

„Przedewszystkiem — jak to już dawniej wskazyaliśmy — objawiło się wielkie odrętwienie polityczne. Skutkiem zupełnego rozczarowania zarówno względem Dumy, jak względem przedstawicielstwa polskiego, zainteresowanie wyborami spadło na poziom chłodnej obojętności. W niektórych miejscowościach prawyborcy wcale się nie zebraли, w innych zebrałi się małemi gromadkami. W Warszawie, która dzięki zajadłej walce kogutów partyjnych, wykazywała zawsze najwyższą temperaturę rozpolitykowania, do pierwszej Dumy głosowało 67 proc. prawyborców, do drugiej 70, trzecia była w części bojkotowana, do czwartej zaledwie 50. Nie pomogły wrzaskliwe podniety i rozpaczliwe nawoływania: nie pomogło bicie w wielkie i małe bębny; masa obywatelska pozostała martwa, jak gdyby mówila: z tej urny, w której złożę moje głosy, nie wyjdzie dla mnie nic dobrego.

W związku z tem odrętwieniem odstąpił się wielki wzrost bezpartyjności. Jest ona zupełnie naturalna w kraju niesamodzielnym i upośledzonym prawnie, ale niezwykła w stosunku do poprzedniego okresu wyborczego.

Dalszym objawem znamiennej położenia było bankructwo Nar.-Demokracji, która do trzech Dum wprowadziła swoich przedstawicieli. Stronnictwo to, które nigdy nie posiadało ściśle określonego programu, miało przynajmniej jego pozór — sam wyraz. Obecnie pozbyło się nawet tego wyrazu i zastąpiło go nazwiskiem swego przywódcy. Dotąd był w jego słowach i czynach przewrotny nacjonalizm, lżenie i wyszczuwanie „inorodców“, bezkrytyczne księżochwalstwo i drapieżne żydożerstwo — teraz pozostała tylko „dmowszczyzna“, która, powołując się ciągle na sympatję „ogromnej większości“ społeczeństwa“, wywołała przeciw sobie wyjątkowo szeroką nienawiść.

Może najsmutniejszym objawem było ukazanie się niebezpiecznej dla naszego życia gromady nacjonalistów żydowskich, którzy zwyciężyli w wyborach warszawskich.

Wprawdzie zwycięstwo to, które im dało 47 wyborców na 33 polskich, zawdzięczają oni poczęści niezgodzie tych ostatnich i wogóle apatji naszego ogółu, ale wykazało ono dostatecznie ich ilość i jakość, ażeby odtąd społeczeństwo polskie mogło dłużej lekceważyć tego wroga i nie ubezpieczać się przeciwko jego najazdowi. Nacjonalizm żydowski jest nie tylko silny wielką masą, ale jest zuchwały, wyzywający, jawnie wrogi.

Oto są główne objawy, które wystąpiły w ostatnich wyborach. Poza faktem zwracania się żywiołów narodowych trudno dostrzec cośkolwiek pocieszającego, a natomiast widać groźną chmurę“.

Może nietyle chmurę, ile ciężki, przesycony trującami wyziewami tuman...

— Jak wiadomo, Socjalna Demokracja wypowiedziała się kategorycznie przeciwko uznaniu

p. Jagielly jako reprezentanta proletariatu. Natomiast kandydaturę jego popierał usilnie t. zw. *blok lewicowy*, do którego przystąpił Bund oraz P. P. S. (lewica).

„Prawda“ podaje ciekawe szczegóły o tym bloku.

„Bund jest organizacją wyłącznie żydowską. Na szyldzie ma on wypisane *credo* wiary marksowskiej; atoli jest to tylko godło zewnętrzne; na użytek wewnętrzny posługuje się on hasłami wybitnego nacjonalizmu. *Credo* socjalistyczne jest znakiem frontu bojowego, zwróconym przeciw burżuazji polskiej. Natomiast hasła nacjonalizmu są różgą oliwną, utrwalającą przymerze i przyjaźń z burżuazją żydowską.

Ta dwulicowość stanie się dla nas zrozumiałą, gdy wspomnimy, że wśród żydów element robotniczy ledwie drobniutką stanowi cząstkę; każda przeto silna organizacja żydowska z konieczności opierać się musi na żywiołach burżuazyjnych. Dla żywiołów tych atoli, gdy występują przeciw społeczeństwu polskiemu, bywa rzeczą niesłychanie dogodną wdziwiać maskę socjalizmu. Wówczas bowiem interes egoistyczny nacjonalizmu żydowskiego można ubrać barwami ideałów ogólnoludzkich. Rzeczą zaś jeszcze korzystniejszą dla żydów bywa wygrywanie na nutach walki klasowej, poprostu, melodji swej nienawiści przeciwko Polsce.

I tu zaczyna się smutna rola P. P. S. (lewicy).

Ten ostatni odłam stanowi jakgdyby kolonję Bundu na terenie proletariatu polskiego, Reżyserowany umiejętnie przez *racje stamu* separatyczno-żydowskie nie waha się on rękami robotnika polskiego dobywać z ognia walki kasztanów dla plutokracji żydowskiej.

Ze istotnie ów „blok lewicowy“ z dwu grup nadmienionych powstały, podporządkowywa niezłomnie politykę swą widokom nacjonalistycznego interesu żydowskiego, świadczy fakt, jaki zaszedł podczas wyborów ostatnich do Dumy.

Jak wiadomo, mieliśmy w Warszawie cały szereg okręgow wyborczych o ludności mieszanej, w połowie polskiej i w połowie żydowskiej; krażyły w nich z jednej strony dwie listy polskie (koncentracyjna i endeccka), z drugiej zaś strony — lista „bloku lewicowego“ oraz lista nacjonalistyczna żydowskich.

Alisi, coż się dzieje w dniu ostatnim, rozstrzygającym?

W okręgach najbardziej dla żydów niebezpiecznych „blok lewicowy odwołuje swe listy, aby nie rozbić głosów żydowskich..

W ten sposób żydzi, niby socjaliści, poparli swych nacjonalistów. Fakt powyższy maluje wymownie fizjognomję właściwą Bundu oraz sprzymierzonej z nim P. P. S.

A że nie jest to wypadek wyjątkowy, potwierdza również socjalistyczna „Placówka“, która demaskuje nacjonalistyczno-wyznaniowe tendencje „Bundu“, ujawnione we wspólnej odezwie bundo-lewicowej.

NA WIDNOKRĘGU.

Londyn 18 listopada.

Ciężkie, czarne mgły przysłyły w gościnę.

Wcisnąją się w usta, w oczy, przejmują powietrze przenikliwym zimnem — do uszu jeno dochodzi piekielny zgiełk zgrai ludzkiej — i skrzecząca trąbka wehikułów.

Londyn żyje.

W Foreign Office zebrała się właśnie rada ministrów by ostatecznie pogodzić się z myślą, że bałkańska wojna zmieniła wygląd półwyspu — na którym grupowały się wszechuropejskie interesy. Zmienne było zapatrywanie Anglii w ciągu wojny.

Sympatje giełdy a wraz z nią oficjalnej polityki przechylały się na korzyść Turcji — podczas

gdy ludność cała stanęła po stronie „ostatnich krzyżowców“.

Wtedy gdy Sir Grey bez zastrzeżeń przyjął formułę Poincarego doradzającą „status quo“ na Bałkanie, w całym kraju zbierano składki na ekspedycje „Czerwonego Krzyża“ do armji greckiej i bułgarskiej.

A był w tem pewien gość szlachetny, jakaś romantyczna sympatja do narodów, które wdały się w bój na śmierć i życie nie z powodu jakowychś lichwiarskich spekulacji — ale w obronie historycznych praw, przez wieki całe deptanych stopą najeźdźcy.

Od roku z górą — gdy Związek państw słowiańskich postanowił ostateczną rozprawę z wojskiem Padyszacha — i gotować się jął do boju — obiegały prasę europejską najdziwaczniejsze opowiadania o znęcaniu się mahometan nad chrześcijanami — o fanatycznej nienawiści do krzyża i t. d.

Gdy z jednej strony skarby wojskowe przygotowywały się do mobilizacji orężnej, w gabinetach dziennikarskich wszczęło się gwałtowne pozyskiwanie sobie opinji europejskiej.

Tym legiendom, częstokroć zrodzonym w fantazji redaktorskiej, czujny posłuch dawała Anglja, więc dzisiaj, gdy mahometan wypchnięto na krańców półwyspu, nikt w Anglji nie spółczyje z ich klęskami, ale raz po raz rodzą się pytania:

Co wniosła Turcja do kultury?

Czem uzasadnia swe spółzycie pośród cywilizowanych narodów?

I istotnie na to pytanie trudno byłoby odpowiedzieć.

Mordy, zniszczenia, okrucieństwa, pragnienie coraz dalszych zdobyczy, jasyry, galery i rzeźnice — oto wiekowy dorobek Turcji.

Więc ludność angielska, jakkolwiek stracić może — wskutek zmiany karty geograficznej na Bałkanie — dobre rynki zbytu, jakkolwiek może się narazić na spór o najkrótszą drogę do Indji, to jednak bez zastrzeżeń przyklaskuje myśli usunięcia chorągwi Allaha z Europy, tembardziej, że ziemia przez nich zajmowana na Bałkanie, nie była ich wiekowym dziedzictwem, ale łupem zdobytych ongiś na słowianach.

Nowym kandydatem do nagrody Nobla za pracę pokojową będzie niezawodnie były niemiecki dyplomata dr. von Leyden.

Za jego to bowiem staraniem odbyła się w Londynie konferencja angielsko-niemiecka mająca na celu usunięcie wszelkich drażliwych punktów spornych w polityce ekspansywnej Brytańskiego Dominjum i niemieckiej Rzeszy.

Uczestnicy kilkudniowych obrad w akademicki sposób mieli przyjść do bezwzględного porozumienia i po należytej dyskusji oznaczyć ołówkiem w ręku sfery wzajemnych wpływów na obu półkulach.

Kiedyś Wiktor Hugo, jako dostojny starzec w przededniu wojny francusko-pruskiej zamarzył o podobnym trybunale, a że był poetą o przedziwnej fantazji, więc globus ziemski podzielił na dwa państwa — z jednej strony Francja miała ogarnąć przestrzenie Europy i podażyć do innych części kontynentu — z drugiej Niemcy — zaważnąć ziemią i stworzyć bezmierne imperjum Hohenzollerskie.

Tak samo obecna konferencja pokojowa pogodziła się wybornie co do przyszłych radjacji angielsko-niemieckich.

O państwach lichszego gatunku jak Austrja,

Francja, Rosja, Włochy nie było mowy, bo angielsko-niemiecka konferencja postanowiła się liczyć jedynie z dwoma walorami — z bagnetem pruskim i z wszędzie obecnym Johnem Bulem. Dyplomaci angielscy mają nieskończoną dozę cierpliwości skoro w sposób poważny dyskutowali o kwestjach tak ważnych, jak przyszłe granice handlowe dwóch zaprzyjaźnionych państw.

Nie przeszkadzało to jednak, że w kilka godzin po zaprzysiężeniu paktów, z Trafalgar Square poszły szyfry do doków angielskich, by eskadrę śródziemnomorską postawić na stopie wojennej.

Wiadomem zaś było, że zarządzenie takie zwracało się przeciw trójprzymierz, a zatem przeciwko tej siostrze niemieckiej, z którą niedawno spijano mohorycz przyjaźni.

Konferencja pokojowa jest niczem innym, jak jednym z symptomów, które wskazują, że pragnienia niemieckie idą po linii ugodowej.

Rujnujące wydatki na flotę nadszarpały fundusze wojenne w Berlinie, zanim się nowy skarb zgromadzi i pozwoli zbudować kilka nowych pancerników, lepiej przywdziać lisowi baranią skórę i udawać przyjaciela.

Takim rzecznikiem przyjaźni, niewątpliwie obliczonej na krótką metę, jest nowy ambasador niemiecki w Londynie książę Lichnowsky.

Dr. Kazimierz Wrzos.

KRONIKA.

— Karol Lewakowski.

W Rapperswilu zmarł Karol Lewakowski, polityk i działacz, z przekonani demokrata i radykał. Jako młodzieniec brał gorący udział w powstaniu. Pracował wspólnie z Mieczysławem Romanowskim.

Po dłuższym pobycie w Rumunji, w r. 1880 wrócił do Galicji, w r. 1882 był wybrany do austriackiej Rady Państwa i przystał do radykalnego odłamu Hausnera.

W r. 1884 w nowych wyborach miał już przeciw sobie całą mieszczańską demokrację, której jego radykalizm nie przemawiał do przekonania. Wybrany jednak do parlamentu, złożył z Rewakowskim i Bol. Wystouchem stronnictwo ludowe.

W dalszym ciągu zbliżył się do socjalizmu.

Wreszcie postował jeszcze między r. 1892—96 i wtedy doszedł do zupełnego rozłamu z Kołem polskiem; zaszkodziło mu głównie ujmowanie się za rusinami.

Porzuciwszy w końcu politykę, wyjechał do Rapperswilu i tam został członkiem Rady zawiadowczej. Brał udział w zjazdach powszechnych stowarzyszeń Pokoju i unji parlamentów i uczestniczył w kongresach w Bernie, Rzymie, Wiedniu, Peszcie, Londynie i Chrystjanji.

W r. 1899 Lewakowski był czynny przy układaniu memoriału o położeniu Polski, który osobiście powiódł do Haagi.

Żył lat 76.

— Mikołaj Łysenko.

Zmarł w Kijowie poeta ukraiński, Mikołaj Łysenko.

Łysenko od lat najmłodszych zdradzający wybitne zdolności muzyczne, po ukończeniu uniwersytetu udał się po wiedzę muzyczną zagranicę do Lipska.

W r. 1868 w Lipsku wydano jego pierwszy „Zbiornik ukraińskich pisen“ Po odbyciu dodatkowych studjów instrumentacji w Petersburgu, Łysenko obrał za miejsce stałego pobytu Kijów, gdzie też przebywał do skonu. Aczkolwiek i w dziedzinie muzyki operowej dorobek zgasłego kompozytora jest znaczny, — z pod jego pióra wyszły między innymi opery: „Zima i wiosna“, „Pan soćkij“, „Snitowa Krala“, „Taras Bulba“, „Czernomorci“, „Sato“, „Eneida“, — to jednak indywidualne cechy jego twórczości zaznaczyły się najwyraźniej w licznych zbiorach ukraińskich pieśni ludowych, solowych, czy chóralnych, zawsze w formę serdecznej prostoty ujętych.

Te pieśni stanowią kamień węgielny popularności zmarłego kompozytora.

W r. 1903 Ukraina obchodziła 35-letni jubileusz działalności muzycznej swego piewcy, a w Kijowie ku uczczeniu tej rocznicy odbył się koncert symfoniczny, złożony wyłącznie z utworów jubilat.

Zmarły brał czynny udział w życiu miejscowych kół ukraińskich, czy to w charakterze członka rozmaitych stowarzyszeń, w tej liczbie zamkniętej „Proswity”, czy jako długoletni prezes niedawno zamkniętego klubu ukraińskiego.

= Tylko „graždanką“.

Po długich wahaniach redakcja „Naszej Niwy“ postanowiła ostatecznie wydawać to pismo tylko czcionkami rosyjskimi. Na dwa wydania zabrakło środków pieniężnych.

Nie należy się dopatrywać w decyzji tej tendencji, o jakiej podejrzewa działaczy białoruskich prasa warszawska („Tygodnik Polski“), słabo się orjentująca w naszych stosunkach. Skoro wypadło poświęcić jedno wydanie, rozsądek dyktował zrezygnować z mniej licznych czytelników, przyzwyczajonych do czcionek łacińskich. Z tego nikt nie może robić zarzutów redakcji „Naszej Niwy“.

Swoją drogą żałować trzeba, że ruch białoruski, kroczący drogą normalnego rozwoju, nie znalazł dostatecznego poparcia ze strony tych żywiołów w społeczeństwie polskim, które wciąż deklamują na temat swego stanowiska krajowego i pracy wśród ludu.

= Zaburzenia w Petersburgu.

Wyrok sądu wojennego w Sewastopolu, skazujący na śmierć 17 marynarzy, wywołał w Petersburgu objawy protestu. W wielu fabrykach proklamowano strejki. W ciągu czterech dni uczestniczyło w strejku kilkaset tysięcy robotników. W wyższych zakładach naukowych odbyły się wiece protestujące.

W instytucie górniczym ogłoszono strejk tygodniowy jako protest przeciwko nowym przepisom o wykładach i składaniu egzaminów.

W mieście zarządzono szereg rewizji i aresztów.

= Organizacja posłów rosyjskich z kresów.

„Siew.-Zap. Żyzi“ wzywa posłów rosyjskich, wybranych na Litwie, do zorganizowania w Dumie „Koła posłów rosyjskich z kresów“, w celu należytego oddziaływania na uchwały prawodawcze, dotyczące Litwy. Chodzi w danym wypadku o to, by skuteczniej wpływać na uwzględnianie „w dziedzinie ekonomicznej, w organizacji kredytu i w kwestjach wyznaniowych“ „rosyjskiego gruntu narodowego“.

Szczególnie — zdaniem „Siew.-Zap. Żyzi“ — wymaga wyraźnego sformułowania prawo o ograniczaniu praw polaków do nabywania ziemi na Litwie i Rusi, jakoby opartej na szeregu ustaw, dających możność omijania ograniczeń przez polaków.

= Z prasy.

Nadesłano nam zeszyt pierwszy (za październik) nowego miesięcznika p. t. „Echo literacko-artystyczne“, wychodzącego pod kierunkiem komitetu redakcyjnego, złożonego z pań Konstancji Łozińskiej, Stanisławy Szadurskiej, Cecylii Walewskiej, Emilji Wielowieyskiej i p. Antoniego Sikorskiego.

W Warszawie zaczął wychodzić nowy tani dziennik ilustrowany „Mały Kurjer Warszawski“ pod redakcją p. J. Ursyna.

W połowie listopada ukaże się pierwszy numer nowego pisma demokratycznego i postępowego p. t. „Tydzień“, którego redaktorem będzie p. Jerzy Jankowski.

We Lwowie znany publicysta p. Ludwik Kulczycki przystąpił do wydawania tygodnika „Nowy Prąd“.

= Skazanie adw. Glassa.

Warszawska Izba sądowa, rozpoznawszy sprawę adwokata Grzegorza Glassa, oskarżonego z art. 129 za wydrukowanie w r. 1905 w tygodniku „Głos“ artykułu p. t. „Prawo mordu“, podpisanego pseudonimem „Avanti“, skazała podsądnego na półtora roku twierdzy.

= Sprawa P. P. S. w Radomiu.

Sesja wyjazdowa warszawskiej Izby sądowej zakończyła w Radomiu sądenie sprawy o należenie do P. P. S.

W liczbie oskarżonych, przeważnie robotników zakładów ostrowieckich, zasiadł też na ławie oskarżonych dozorca policyjny Mikołaj Riabuchin, oskarżony o to, że w 1907 i 1908 roku współdziałał z członkami partji P. P. S.

Na roboty ciężkie skazano jedenastu: Jan Poczta na 8 lat, Maksymilian Hibner i Jan Szczeciński po 6 lat, Adam

Marynczak i Albin Lachowski po 5 lat, Władysław Błażejowski, Edward Borowiec, Feliks Kosiarz, Michał Choiński, Karol Budziń i Wincenty Włodarski po roku; pozostali, w tej liczbie Mikołaj Riabuchin zostali skazani na osiedlenie.

Sprawa ta zamyka kartę historii rewolucji z 1905 i 1906 roku w Polsce, jest to bowiem ostatni większy proces polityczny, w którym na ławie oskarżonych zasiadli działacze ruchu wolnościowego.

= Ochrona nadzwyczajna nad Leną.

Ogłoszenie niedawno ochrony nadzwyczajnej w kopalniach złota nad Leną wywołało ogólne zdziwienie. Delegatom Zarządu kopalni leńskich minister spraw wewnętrznych oświadczył, że zarządzenie powyższe wywołane zostało chęcią zjednoczenia władzy w okręgu kopalni. Dotychczas w okręgu tym istniały cztery urzędy policyjne, które działały bez porozumienia. Zjednoczenie działalności tych urzędów możliwe jest tylko w drodze reorganizacji i stworzenia nowych etatów, co wymaga sankcji instytucji prawodawczych. Wobec rozwiązania instytucji prawodawczych rząd nie mógł złożyć odnośnego projektu prawa, więc ogłoszono ochronę nadzwyczajną na pół roku, która umożliwi przeprowadzenie pożądanej reformy odrazu.

= Zamordowanie Canalejas.

Prezes ministrów hiszpańskich don José Canalejas y Casus został zabity wystrzałem z rewolweru przez anarchiste Manuela Pardinasa. Sprawa zamachu, będąc ściganą, pozabawił siebie życia. Według przypuszczeń Pardinasa zabił Canalejas, mszcząc się za wyrok śmierci na Ferrera.

Książki nadesłane do Redakcji.

Lietuviu kryžiai. Surinko Antonas Jaroszevicius. Ižanga paraszė D-ras J. Basanoviczius. Viujetėsis tautiniu motivu sutaisė A. Žmuidzinavicius. Lietuviu Dailės Draugios Leidynys. Vilnius 1912. J. Zawadzki spaustuvė. A. Juraszaiczio kliszes.

(Croix Lithuanienes. Édition de la Societé Lithuanienne des Beaux-Arts).

Treść numeru.

Chwila osobliwa. — J. Sorokowicza.

Czwarta Duma. — Novus'a.

Bilans wyborów litewskich. — M. R.

Kooperacja i polityka. — W. A.

Listy z Warszawy. — P. M.

Konferencja bałkańska. — St. Posnera.

Syndykalizm francuski. — R. Dołęgi.

Nad Sekwaną. — W. Kiślańskiej.

Ślepy Orzeł. — W. Niedziałkowskiej.

Z mego notatnika. — Licza.

Teatr zimowy. — Z. Kleszczyńskiego.

Przeгляд piśmienniczy. — E. Czekałskiego i W. Grubińskiego.

Prasa polska.

Na Widnokręgu. — Dr. K. Wrzosa.

Kronika.

Odcinek: „Zastygła fala“. — J. Augustynowicza.

Dziennik Petersburski

Organ kolonji polskich
w cesarstwie Rosyjskiem

Bezpartyjna, polityczna, społeczna, literacka i naukowa gazeta codzienna.

TRZECI ROK WYDAWNICTWA.

We wszystkich ogniskach życia polskiego: Warszawie, Krakowie, Lwowie, Poznaniu, Wilnie, Kijowie, jakoteż w ważniejszych miastach Cesarstwa „Dziennik Petersburski” posiada własnych korespondentów.

Wydawca: **A. Babiński.**

Redaktor **J. Sawicki.**

Sekretarz Redakcji: **St. Grostern.**

Prenumerata wynosi w Petersburgu: rocznie 6 rb., półr. 3 rb., kwart. 1 rb. k, mies. 50 kop. Numer pojedynczy 2 k.— na prowincji 3 kop. W Cesarstwie. rocznie 8 rb., półr. 4 rb., kwart. 2 rb. Zagranicą, — rocznie 12 rb. Adres redakcji i administracji: Petersburg, Włodzimierski prospekt 13.

BIURO PARCELACYJNE i LEŚNE

SPECJA LISTY - LEŚNIKA

Józefa Łastowskiego

(byłego p. o. Członka Banku Włościańskiego)

Wilno, prosp. Ś-to Jerski, d. № 43 m. 4.

Parcelacja, likwidacja majątków ziemskich z udziałem Banków Ziemskich i Włościańskiego lub bez tegoż, parcelacja planów w miejscach.

Urządzanie gospod. leśnych oraz innych robót w zakres leśnictwa wchodzących. Informacja od godziny 12 do 1 i od 5 do 6 wieczór.

Mieszkanie wraz z całodziennem utrzymaniem dla kształcących się panien.

Zapewnia się zdrowe odżywianie, wszelkie wygody, oraz po, moc i ulgi w korzystaniu z odczytów, muzeów, kierownictwo w czytaniu książek i t. p. Na żądanie konwersacja francuska, nauka kroju-róbót i słoju.

Warszawa, ul. Złota 36 m. 13 Z. GRUSZCZYŃSKA.

WACŁAWA GRUBIŃSKIEGO

Pocałunek — utwory powieściowe (wydanie drugie) — 1 rb. 60 kop.

Moc kamienna — nowele — 1 rb. 20 kop.

Bunt — nowele (wydanie drugie) — 1 rub.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

L. KRZYWICKIEGO

W O T C H Ł A N I.

Rozbiór wływów, wywieranych przez ustrój społeczny na moralność, naukę, literaturę i sztukę.

Str. 292. Cena 1 rb. 60 kop.

Dla prenumeratorów „Przeglądu Wileńsk.” cena niższa do 1 rb. (bez przesyłki).

Dr. Stefanja Hertz

CHOROBY KOBIECE

Przeprowadziła się na ul. Domini-
kańską № 8.

Przyjmuje codziennie od 5-ej do
7-ej pop. prócz świąt i niedziel.

Żądajcie wszędzie „ODOBRIN“

tylko MICHAŁA LEBIEDIEWA.

Tępi odciski



i brodawki z korzeniem

Informator Handlowy.

BIURO PRZEPISYWAŃ
A. Skarzyńskiej

Wilno, Tatarska 12. Telefon 1002.
POŚPIECH I DOKŁADNOŚĆ.

SZEW C

T. KRZYŻANOWSKI

Wilno, Ludwisarska № 8.
Obuwie gotowe i na obstalunek.

KSIĘGARNIA

KULTURA Wilno,
Ś-to Jerski 7.

PRENUMERATA PISM.

Wszelkie nowości.